

Spotkanie

z prof. dr. hab.

Janem Tomkowskim

Prowadzenie spotkania dr Konrad Tatarowski

26 stycznia 2010 r.

Jan Tomkowski

Historyk literatury, eseista, prozaik, autor utworów prozatorskich, książek historycznoliterackich oraz cieszących się popularnością podręczników do literatury polskiej i powszechnej.

Ur. 22 sierpnia 1954 w **Łodzi**. Syn Bolesława Tomkowskiego (elektronika) i Leokadii z Wysogórskich (urzędniczki).

W 1973 zdał egzamin maturalny w X Liceum Ogólnokształcącym im. M. Konopnickiej w Łodzi. Ukończył **filologię polską** (1977) oraz **filozofię** (1979) na **Uniwersytecie Łódzkim**.

Zadebiutował w 1977 esejem pt. *Czytając Swedenborga*, opublikowanym w „*Twórczości*” (nr 9). Współpracował z tym miesięcznikiem do 1990. Artykuły zamieszczał także w „*Tygodniku Kulturalnym*” (1977-1979) i czasopiśmie „*Znak*” (1984-1996, z przerwami).

Był doktorantem **Instytutu Badań Literackich (IBL) PAN w Warszawie** (1979-1982), gdzie w 1985 uzyskał **dyplom** na podstawie rozprawy pt. *Juliusz Słowacki i tradycja mistyki europejskiej* (promotor prof. Maria Żmigrodzka), a w 1995 obronił **rozprawę habilitacyjną** *Mój pozytywizm*. W 2003 otrzymał tytuł **profesora** historii literatury polskiej.

Pracował na stanowisku adiunkta

w IBL - początkowo w Pracowni Pozytywizmu (1986-1989), od 1989 w Pracowni Literatury XX wieku, od 2006 w Pracowni Komunikacji Literackiej w Okresie PRL-u.

Publikował pod pseudonimem Stanisław Krzysztofowicz artykuły, recenzje i opowiadania na łamach wydawanych poza cenzurą czasopism: *Wezwanie* (1984), *Bez dekretu* (1985), *Wybór* (1985), *Kultura Niezależna* (1987-1989).

W 1987 otrzymał **nagrodę** literacką przyznaną przez Zarząd Fundacji im. Z. i J.K. Wende.

Pełnił funkcję zastępcy redaktora naczelnego miesięcznika *Bestseller* (1989-1990). Kierował działem kultury w piśmie *Wiadomości Dnia* (1990-1991).

W 1990 został członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Przebywał na **stypendium** we Francji (1990 ; 1993) i Londynie (stypendium British Academy 1991).

W latach 1993-1998 pisał artykuły i felietony do *Listu Oceanicznego* (dodatek kulturalny dziennika polonijnego *Gazeta* wydawanego w Toronto).

W 1994 przeniósł się z Łodzi do Wrocławia. Rok później zamieszkał w Warszawie.

W latach 1996-1998 i 2001-2003 prowadził **seminarium magisterskie** na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego, 1998-2004 zajęcia z literatury powszechnej w Akademii Świętokrzyskiej w Kielcach.

Wykładał gościnnie w Studium Literacko-Artystycznym na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. W roku akademickim 2005/2006 był profesorem w Wyższej Warszawskiej Szkole Humanistycznej.

Współpracował z **Polskim Radiem** (obecnie głównie z Programem 2). Prowadził radiowy cykl audycji pt. *Promocje* (1993-1994); wspólnie z Krzysztofem Lipką cykl *Biblioteka arcydzieł*. Redagował na łamach dodatku dziennika *Życie* pt. *Życie z Książkami* stałą rubrykę pt. *Moja biblioteka*. W latach 2004-2005 zamieszczał recenzje w *Nowych Książkach*.

Pierwsze ważniejsze publikacje autora dotyczyły szeroko pojmowanej **mistyki europejskiej**, jej związków z **poezją, malarstwem, alchemią, kabałą, okultyzmem, tarokiem**. W tym nurcie mieszczą się, obok pracy doktorskiej, książki: *Mistyczny świat Williama Blake'a* (1993) oraz *Mistyka i herezja* (1993) - tom esejów, których bohaterami są między innymi Mistrz Eckhart, Jakub Böhme, Emanuel Swedenborg, Novalis. We wczesnym okresie twórczości powstały również dwie **powieści** o charakterze autobiograficznym: *Ragadon* (1986) i *Opowieści Szeherazyady* (1989) oraz **opowiadania** drukowane głównie w prasie podziemnej. Komercyjny sukces odniosły bogato ilustrowane **syntezy**: wielokrotnie wznawiana *Literatura polska* (1993) oraz *Literatura powszechna* (1995),

k której nakład w październiku 2000 roku przekroczył **100 tysięcy** sprzedanych egzemplarzy. Dopelnieniem tych publikacji stały się *Dzieje myśli* (1997). Świadectwem zainteresowania literaturą XIX wieku jest obszerna monografia *Mój pozytywizm* (1993), ukazująca w całkowicie nowym świetle epokę uznawaną dotąd za racjonalistyczną i niezbyt pasjonującą, a także **podręcznik akademicki** *Młoda Polska* (2001). Najnowszym wydaniem literackim poświęcony został tom **szkiców** *Dwadzieścia lat z literaturą. 1977-1996* (1998).

Jan Tomkowski uważa się przede wszystkim za **eseistę**. Swoją wizję eseju przedstawia najpełniej w książkach *Juliusz Verne - tajemnicza wyspa?* (1987), *Jerzy Stempowski* (1991), a także zbiorze *Dom chińskiego mędrca: eseje o samotności* (2000), uznany nie tylko za eseistyczną sumę, ale i najbardziej osobistą pozycję w dorobku autora. Rodzajem historycznoliterackiego eseju jest również *Pokolenie Gombrowicza* (2001) - książka ukazująca narodziny powieści XX wieku w Polsce.

Jan Tomkowski mieszka w Warszawie. Jest miłośnikiem literatury Juliusza Verne'a.

Wybrana bibliografia

Juliusz Słowacki i tradycje mistyki europejskiej, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1984.

Ragadon [powieść], Łódź, Wydawnictwo Łódzkie, 1986.

Juliusz Verne - tajemnicza wyspa? [eseje], Łódź, Wydawnictwo Łódzkie, 1987 [wyd. 2 2005].

Opowieści Szeherezady [powieść], Warszawa, „Iskry”, 1989.

Jerzy Stempowski, Warszawa, „Interim”, 1991.

Literatura polska, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1993 [kilka wydań wznowień].

Mistyczny świat Williama Blake'a [współautor Ewa Kozubska], Milanówek, „Warsztat specjalny”, 1993.

Mistyka i herezja [eseje], Wrocław, „Paradox”, 1993 [wyd. 2 2006].

Mój pozytywizm, Warszawa, Instytut Badań Literackich PAN, 1993.

Literatura powszechna, Warszawa, Print Shops Prego, 1995 [liczne wydania].

Dzieje myśli [pomysł, tekst i układ], Warszawa, Państwowy Instytut Naukowy, 1997.

Dwadzieścia lat z literaturą 1977-1996 [szkice literackie], Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1998.

Literatura powszechna, Warszawa, „Świat Książki”, 2000.

Dom chińskiego mędrca: eseje o samotności, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 2000.

Młoda Polska 1890-1914, Warszawa, Wydawnictwo Naukowe PWN, 2001.

Pokolenie Gombrowicza. Narodziny powieści XX wieku w Polsce, Warszawa, „Czytelnik”, 2001.

Słownik pisarzy polskich [redakcja i autorstwo hasel], Warszawa, „Horyzont”, 2002.

Samobójcy i marzyciele: o zabijaniu poetów, Kielce, Wydawnictwo Akademii Świętokrzyskiej, 2002.

Historia myśli od starożytności do XX wieku [wcześniej jako *Dzieje myśli*], Warszawa, „Świat Książki”, 2002.

Zamieszkać w bibliotece, Ossa, „Dom na Wsi”, 2004 [wyd. 2 2007].

Wspomnienia o Leopoldzie Buczkowskim [redakcja i opracowanie], Ossa, „Dom na Wsi”, 2005.

Don Juan we mgle: eseje o wierności, Warszawa, Rosner & Wspólnicy, 2005.

Dzieje literatury polskiej, Wrocław, Wydawnictwo Dolnośląskie, 2007.

Dzieje literatury powszechnej, Warszawa, „Świat Książki”, 2008.

Secesja - przestrzeń spotkania pisarzy, Warszawa, Instytut Badań Literackich PAN, 2008.

Ciemne skrzydła Ikara: o rozpacz, Warszawa, „Iskry”, cop. 2009.

Kuchnia literacka [wybór i opracowanie; współautor Barbara Jakimowicz-Klein], Warszawa, „Świat Książki”, 2009.

Współcześni polscy pisarze i badacze literatury: słownik biobibliograficzny, oprac. zespół pod red. Jadwigi Czachowskiej i Alicji Szałagan, Warszawa, Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, cop. 2003, T. 8, s. 336-338.

Współcześni polscy pisarze i badacze literatury: słownik biobibliograficzny, oprac. zespół pod red. Jadwigi Czachowskiej i Alicji Szałagan, Warszawa, Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, cop. 2007, T. 10, s. 797-798.

<http://alpha.bn.org.pl>

<http://nauka-polska.pl>

<http://www.ibl.waw.pl>

<http://www.piw.pl/autorzy/tomkowski.htm>



Kwestionariusz BIBiK-a

Wypełnia: Jan Tomkowski

Moje motto życiowe...

Podobały mi się zawsze słowa Woltera: „Chroń mnie, Panie Boże, od fałszywych przyjaciół, z wrogami poradzę sobie sam”. Ale nigdy nie stosowałem ich w życiowej praktyce. Niestety.

Trzy cechy oddające moją osobowość...

Cóż, chyba nikt z nas nie potrafi spojrzeć na siebie całkowicie bezstronnie? A inni wiedzą o nas jeszcze mniej...

Moja główna zaleta...

Wyobraźnia. Mam nadzieję.

Nie lubię u siebie...

Naiwności.

Cechy, za które cenię innych ludzi...

Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Otaczający mnie ludzie przychodzą dobrowolnie i czasem zostają, a czasem nie. To chyba nie zależy od ich cech charakteru?

Mój ideał do naśladowania to...

Nikogo nie naśladować. Nigdy. Zawsze być tylko sobą.

Książka, która mnie urzekła...

Mnóstwo książek, w różnym czasie i różnym miejscu, jednym słowem – raczej Biblioteka niż niewielki podręczny księgozbiór.

Mój ulubiony pisarz...

Jak wyżej. Mnóstwo pisarzy. Na przykład Flaubert, Rilke, Proust, Doderer, Hesse...

Najchętniej słucham muzyki...

Słucham, pozeram, podziwiam. Ostatnio najczęściej Francją, wiek XVII. Ale wychowałem się na muzyce rockowej i wcale się tego nie wstydę.

Praca daje mi...

Radość i mękę, ale zdecydowanie częściej radość. Zawsze chciałem robić w życiu coś, co mnie najbardziej interesuje. Pod tym względem jestem szczęściarzem.

Moje hobby to...

Malarstwo, muzyka, film, fotografia, kuchnia, komputer. Lubię robić wiele rzeczy naraz, nie znoszę ograniczeń ani wąskiej specjalizacji.

Miejsce, w którym najlepiej odpoczywam...

Ja chyba nie odpoczywam. W końcu jest jeszcze tyle do zrobienia...

Być szczęśliwym to...

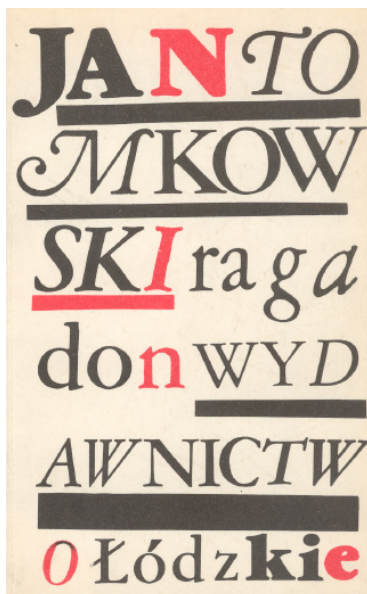
Każdy widzi to inaczej. Każdy potrzebuje do szczęścia czegoś innego. Kiedyś szczęście kojarzyło mi się raczej ze zgiełkiem, na starość zacząłem doceniać wartość ciszy.

Na bezludną wyspę zabralbym...

Paulinkę, oczywiście. O ile nie zanudziłaby się tam na śmierć.

Moje trzy życzenia do złotej rybki...

Najpierw niech przytylnie, a potem porozmawiamy... Obawiam się jednak, że złote rybki nie istnieją i sami musimy sobie radzić!

**Jan Tomkowski****Moje pierwsze miasto, moja pierwsza biblioteka**

Zawsze jest jakaś pierwsza rzeka, pierwszy most, pierwszy dom, w którym przyszło nam zamieszkać. Jest także pierwsze miasto, do którego porównywać będziemy wszystkie następne, jakie zdołamy podczas naszego krótkiego życia zobaczyć.

Mój pierwszy most był wiaduktem kolejowego, nic ciekawego dla architekta. Budowlą, która zachwycać mogła tylko dziecko, bo górą przełatywały pociągi. Mówiąc ściślej, zachwycać i przerażać, bo mały chłopiec nie wierzył ani przez chwilę w umiejętności projektantów i wykonawców. Był święcie przekonany, że pewnego dnia most spadnie mu na głowę. Stał w tunelu cierpliwie, oczekując na tę chwilę. Moja pierwsza rzeka to Warta, a nie Wisła. Może dlatego – choć kilka razy w miesiącu jadąc do marketu na Pragę przejeżdżam mostem przez Wisłę, nie czuję już wielkich emocji. W czasach mojego dzieciństwa leżeliśmy nad Wartą gdzieś pod Sieradzem, a z oddali wylaniał się powoli tabor cygański. Piosenka, której autorem był Jerzy Ficowski, nie została jeszcze wtedy napisana.

Moje pierwsze lata życia upłynęły w kamiennym kwadracie wytoczonym ulicami Zamenhofa, Kościuszki, Wólczańskiej i Andrzeja, którą tylko władze administracyjne nazywały uli-

cą Struga. Może dlatego tak ważne były parki, do których prowadziła nas – mnie i siostrę – nasza mama. Park Sienkiewicza, Park Poniatowskiego, Julianów, Zdrowie, Arturówek, Ruda Pabianicka. Najważniejszy był Park Poniatowskiego z miejscami dla mnie mitologicznymi – stawem, fontanną, kortem tenisowym, cmentarzem i pomnikiem żołnierzy Armii Czerwonej, a także muszlą koncertową, gdzie oglądało się filmy na świeżym powietrzu i gdzie rozbrzmiewały już dźwięki muzyki zwanej bigbitową.

W stojącej do dziś trzypiętrowej zaniedbanej kamienicy na Wólczańskiej spędziłem ponad dwadzieścia lat życia, nie wiedząc, czym jest zmiana miejsc, nie porównując, nie oceniając, nawet nie tęskniąc do lepszych światów, których istnienie chyba przeczuwałem. Uważałem się za szczęściarza, bo miejsca wędrowały moim śladem. Do szkoły podstawowej chodziłem na Kościuszki, dwa kroki. Do liceum też na Kościuszki, przez podwórko. W pierwszym semestrze polonistyki biegałem po mieście, ale już w drugim przeniesiono wszystkie zajęcia do gmachu mojego dawnego liceum. Na filozofii sytuacja się powtórzyła. Ulokowano filozofów na Wólczańskiej, pięć minut drogi od mojego domu.

Shczęście opuściło mnie dopiero gdy skończyłem studia: dopiero wtedy poczułem się prawdziwym wygnanym.

Debiutowałem w warszawskiej „Twórczości”. Moją pierwszą książkę wydałem w Warszawie, w Państwowym Instytucie Wydawniczym. Do studia radiowego po raz pierwszy wszedłem w Monachium, by za pośrednictwem Radia Wolna Europa opowiedzieć, co myślę o literaturze polskiej. Pierwszą etatową pracę dostałem w Polskiej Akademii Nauk, na Nowym Świecie, w Pałacu Staszyca. Mój pierwszy wykład odbył się w Auditorium Maximum, na Krakowskim Przedmieściu.

Co zostaje dla Łodzi? Pierwsze łzy, pierwsza przyjaźń, pierwsza miłość?

W każdą środę w auli mojego liceum odbywały się koncerty muzyki klasycznej. Dzięki temu pamiętam to

wnętrze nie tylko z uroczystych ceremonii. Mogłem mieć nadzieję, że któregoś dnia i ja przyjdę tu, by wygłosić swój pierwszy wykład. Strasznie chciałem mieć studentów, wszystko jedno: polonistów czy filozofów. Wyobrażałem sobie, że nudne zajęcia można przekształcić w grecką akademię.

Dopadła mnie historia, a może polityka. Był rok 1977, rok wcześniej zdarzył się Radom i Ursus. Petycje do władz pisano na jesieni, zbieranie podpisów przeciągało się.

Chciałem pana zatrudnić, ale pan mnie oszukał, krzyczał mój promotor na filozofii. Pan pisał do sejmu! Jak pan śmiał!

Moja pani promotor na polonistyce była delikatniejsza: czy warto ryzykować tak wiele, by pozostać sobą?

Miałem dwa dyplomy z wyróżnieniem, ale Łódź mnie nie potrzebowała. W Warszawie wydrukowano moją pracę magisterską o mityce Jakuba Boehmego. Naczelny „Studiów Filozoficznych” radził dobrze: wie pan, opozycja opozycją, ale z czegoś trzeba żyć. I pytał, czy nie pojechałbym może na zjazd młodych marksistów. Nie pojechałem.

Gdy prawie cały naród stał w kolejkach po mięso i zapisywał się do „Solidarności”, przydzielono mi ściany. Tak nazywałem moje trzydziestometrowe mieszkanie w blokach z wielkiej płyty, tak zwanej płyty Bajbakowa. Wyczekane, wytęsknione, otrzymane po latach ciutania pieniędzy w spółdzielczej kasie.

Potrzebny był jeszcze tylko podpis stwierdzający, że jestem literatem, to znaczy że gdzieś pracuję. Taka pieczęć przyłożyć mógł tylko prezes Oddziału Związku Literatów Polskich w Łodzi.

Zebrałem sporą teczkę publikacji, ale łódzki prezes odmówił. Mieszkanie rozwiewało się jak dym. Mój przyjaciel Radek powiedział wtedy: jedź do Warszawy.

Nie wierzyłem, że się uda, ale pojechałem. Jarosław Iwaszkiewicz podpisał bez wahania. Jak zobaczyli ten podpis w spółdzielni mieszkaniowej, to mało nie pospadali z krzesel. Już wiedziałem, że jeśli gdzieś uważa-

ny będę za pisarza albo naukowca, to na pewno nie w Łodzi.

Siedziałem w tych swoich ścianach – bez etatu, bez pieniędzy, bez nadziei. Pracowałem z trudem, bo mieszkanie w wielkiej płycie to lokum wymarzone dla prawdziwego mężczyzny z wiertarką w dłoni, pracowicie zamieniającego ścianę w sito, dla gospodyni domowej odkurzającej pokoje o trzeciej nad ranem. Nawet szkrab z piłką ma tu więcej praw niż pisarz marzący o chwili spokoju.

W Alchemii słowa Jana Parandowskiego przeczytałem, że twórca potrzebuje do szczęścia bardzo niewiele: małej willi albo cichego apartamentu. Autor nie zdradzał jednak ani słowem, jak wchodzi się w posiadanie owych cudownych skarbów. Sam musiałem sobie radzić.

Z zeszytem i długopisem wychodziłem na Stawy Jana, gdzie pisałem książkę o Juliuszu Vernie. Była późna jesień, a dookoła nie znalazłem ani jednej ławki. Zatrzymywałem się więc pod drzewem i zapisywałem kolejne zdania. Trwał stan wojenny i znajomi przestrzegali mnie: kiedyś wezmą cię za szpiega albo wrzucą po prostu do wody. Niebezpiecznie jest notować coś na odludziu.

Wiedziałem, że ołówek, notes, a także książka, budzą niechęć łódzian. Kiedy w kolejce otwierałem książkę, wybuchała zaraz dyskusja, czy naprawdę „stoję” tak jak inni, czy może tylko „czytam” i wcale nie należy mi się „wystany” bulion, kisiel albo dwadzieścia deko szynki. W Warszawie czytać mogłem natomiast bez przeszkód.

Kiedy w Parku Poniatowskiego okaleczono łabędzia, Łódź orzekła zgodnie, że zrobili to na pewno studenci.

A potem zatrudnili mnie w Warszawie, gdzie każdy też skądś był – Grażyna ze Szczecina, Janusz z Łodzi, Marek z Otwocka. Jeździłem z Łodzi do Warszawy jakieś piętnaście czy dwadzieścia lat. Niekiedy o czwartej rano – ta pora miała dla mnie zawsze swój urok. Huysmans zapewniał, że właśnie wówczas głodni mnisi śpiewają w klasztorach chorały gregoriańskie, które oczywiście brzmią inaczej niż w filharmonii. Nie-

dawno przeczytałem, że Paul Valéry wstawał o czwartej rano, by pisać swoje Zeszyty (dziś jakieś trzy tysiące stron w wydaniu Plejady). Andrzejów, Justynów, Gałkówkę. Znam tę drogę na pamięć. W Płyci wsiadali najciężiej ubrani pasażerowie. Zimą otrępywali buty ze śniegu. Jakże mogłem nie myśleć o Reymonie w Lipcach? A potem był Grodzisk, wówczas na czele statystyki popełnianych morderstw (w przeliczeniu na tysiąc mieszkańców). I już Pruszków, Milanówek. Już? Wtedy po trzech godzinach, o ile nie było spóźnienia. Mój rekord to dziesięć godzin w jedną stronę. Dwa razy mój pociąg wypadł z szyn, ale uszedłem z życiem.

W *Opowieściach Szeherezady* mówię o podróży do stolicy, bez szczęśliwego zakończenia. Pociąg zatrzymuje się pod Warszawą, dalej trzeba iść pieszo. Po drodze mają miejsce różne dziwne wydarzenia. A kiedy wreszcie pasażerowie docierają na miejsce, okazuje się, że stolica jest kompletnie opustoszała. Pod Pałacem Kultury i Nauki siedzi jakiś stary człowiek i pali ognisko. Podobno – wszyscy poszli na wschód.

Moja znajoma poetka stwierdziła potem, że opisałem Warszawę, przez którą przeszli Moskale. Wcale o tym nie myślałem, ale taka interpretacja bardzo mi się podoba.

Pisarz nigdy nie wie, co w jego książkach wyczytają inni.

Kiedy pisałem *Ragadona*, naszpikowałem powieść rozmaitymi smakowitymi aluzjami. Rzecz rozgrywała się w szkole – miałem prawo sądzić, że to metafora równie dobra jak koszary czy więzienie, przestrzeń zamknięta i kontrolowana starannie przez oddanych władzy funkcjonariuszy. Kiedy opisałem współpracującego z tajnymi służbami naukowca jako miłośnika piłki ręcznej, wydawało mi się, że obalam system. Wtajemniczeni uśmiechali się wówczas ironicznie, pytając, dlaczego choć istnieje Polski Związek Piłki Nożnej i Polski Związek Piłki Siatkowej, to nie ma Polskiego Związku Piłki Ręcznej. Skrót wyjaśnia wszystko, ale nikt niczego nie zauważył. Ragadon ukazał się w Wydawnictwie Łódzkim, pod skrzydłami Edwarda Kolbusa. W recenzjach i rozmowach tłumaczono mi,

że naśladowę Gombrowicza, bo on też pisał o szkole. Jedna Agnieszka Dajbor była chyba na tropie – wówczas zajmowała się jeszcze krytyką literacką, dopiero potem zaczęła robić karierę w pismach kobiecych.

Gdy zachwycąłem się prozą Hessego, zwłaszcza Narcyzem i Grą szklanych paciorków, Leopold Buczkowski, mój mistrz w pisaniu, powtarzał w swoich mądrych listach: niech pan unika Szwajcarii. Szwajcarii i Łodzi!

Szwajcaria mi nie groziła. Postanowiłem więc wyprowadzić się z Łodzi.

Chyba przez całą dekadę lat osiemdziesiątych spotykałem na trasie Warszawa – Łódź kobietę chętnie opowiadającą współpasażerom swoją historię. Jej jedynym celem życia stała się zamiana mieszkania łódzkiego na najmniejszy bodaj pokój w Warszawie. Aby osiągnąć swój cel, nie paliła, nie piła, odmawiała sobie wakacji, oszczędzała, a tymczasem ceny nieruchomości ciągle rosły.

W 1988 roku przeczytałem ogłoszenie: zamienię kawalerkę w Legionowie na mieszkanie w Łodzi. Zatelefonowałem i dowiedziałem się, że mieszkanie łódzkie – co najmniej trzypokojowe – ma być „w cegle”, z garażem i telefonem, koniecznie na pierwszym piętrze.

- O! – powiedziałem – to ja chyba wolę mieszkać w Łodzi. Niżej znajdowało się jeszcze jedno ogłoszenie.

Tak stałem się mieszkańcem ulicy Traktorowej, którą znają tylko łodzianie. Dla mieszkańców innych miast jest to ulica Traktorów albo Traktora, rzecz jasna o ile nie jest ulica Traktową albo Traktem prowadzącym donikąd. Warszawiaków zachwycających się Łodzią zawsze posądzalem o hipokryzję. Tłumaczyli mi, że Łódź to najpiękniejsze miasto w Europie, ale z ulic znali tylko Piotrkowską i byli przekonani, że cała architektura łódzka pochodzi z czasów secesji. Ktoś nawet przekonywał mnie, że Łódź to najbardziej zielone miasto w Polsce. A kiedy pytałem podstępnie, czemu nie przeprowadzą się do Łodzi, odpowiadali zawsze: no wie pan, na prowincję?

Łódź lubi chwalić się Tuwimem, który chociaż bardzo kochał swoje ro-

dzinne miasto, to jakoś dziwnie wcześniej z niego się wyprowadził. Napisałem o tym w Domu chińskiego mędrca. Jeden z moich ówczesnych kolegów, hałaśliwy krytyk literacki, okropnie mnie skrzyczał.



Targi Książki, 2001

A potem oświadczył, że Łódź to miasto najbardziej kulturalnych na świecie ludzi, gdzie wszystkie domy są piękne, ulice zadbane, sklepy pełne wspaniałych towarów. Powinien był jeszcze dodać, że słońce nigdy tu nie zachodzi, a manna pada wprost z nieba. Miał przecież na myśli nie Łódź, lecz Nowe Jerozolimę zstępującą z obłoków na ziemię.

Sam mieszkał w Podkowie Leśnej i zdaje się, że po okresie fascynacji marksizmem właśnie się nawrócił.

Są pisarze tacy jak choćby Eliza Orzeszkowa czy Bruno Schulz, pogodzeni z faktem, że ich życie upływać musi w jakiejś kresowej miejscinie, mało atrakcyjnej dla kogoś, kto widział wielkie europejskie metropolie. Są i tacy, którzy nienawidzą swojego rodzinnego miasta albo też miejsca zamieszkania. Stendhal nie znoził Grenoble, Flaubert nie przepadał za Rouen, Praga nie była wystarczająco dobrym miejscem dla Rilkego.

Przez jakiś czas pisałem opowiadanie, którego bohaterem był ten zapewne największy poeta XX wieku. Jak wiadomo, życie Rilkego składało się niemal wyłącznie z podróży. Pewien czas przebywał w niemieckim oczywiście Sopocie, ale zawadził też o Warszawę. Wyobraziłem sobie, że

w następstwie spisku albo tragicznej w skutkach pomyłki Rilke został uprowadzony do Łodzi i tutaj uwięziony – na przykład na Bałutach. Czy byłby kimś innym, gdyby nigdy nie zobaczył Duino? Czy napisałby mimo wszystko swoje elegie i sonety?

Miasta i miejsca są ważne, ale oczywiście nie dlatego, że znajdują się w nich cieszące oko mury albo kościoły, banki, markety, restauracje, kasyna. I nawet nie ze względu na ludzi, choć zawsze będę wierzył, że wrocławianie (z małymi wyjątkami) są chyba najsympatyczniejsi i najbardziej życzliwi. Co więc jest najważniejsze?

Chyba to trudne do uzyskania poczucie, że jestem wreszcie u siebie, na swoim miejscu. Ja osiągnąłem ten komfortowy stan dopiero w Monachium – może w poprzednim wcieleniu byłem monachijskim malarzem albo co gorsza bawarskim politykiem? Ale przecież nie ma żadnych reguł. Mój przyjaciel Konrad Tatarowski wcale nie był tu chyba szczęśliwy i kiedy wreszcie mógł, wrócił do Łodzi. A więc są rozmaite hierarchie i różne wybory. Tylko Wenecja pozostaje jedyna i niepowtarzalna. Nie słyszałem jeszcze, by ktoś powiedział, że Leszno albo Siedlce (albo Łódź) to miasta piękniejsze od Wenecji. Ale i to może się zdarzyć. A wtedy gniewny Bóg zatopi Wenecję, by odebrać ludziom piękno, na które już nie zasługują.

Widziałem Wenecję, podziwiałem Londyn, Paryż, Wiedeń i Chicago, chciałem zamieszkać w Monachium, ale mieszkałem we Wrocławiu, a później w Warszawie. Bardzo długo nie wiedziałem, że te wszystkie chciane i niechciane podróże, odbywane z rozmysłem wędrówki i gorączkowe dojazdy w pośpiechu to jakaś iluzja, bo tak naprawdę – mieszkam od lat w Bibliotece, która jest bytem metafizycznym i królestwem wędrującym – dokładnie tak jak Państwo Boże świętego Augustyna. Wiemy, gdzie znajduje się grób Marcela Prousta, ale gdzie jest W poszukiwaniu straconego czasu? Gdzie jest Ulises albo Czardziejska góra?

Oczywiście, że – wszędzie, bo książki wędrują dziś po całym świecie, choć ziemskie biblioteki są niedoskonałe i zawierają poważne luki. Tylko

Biblioteka Niebiańska, w której nieskończoną polifonię wierzę, zawiera wszystkie bez wyjątku tomy. Nikogo z żyjących tam jeszcze nie było, mogę więc liczyć, że w skromnym kąciuku stoją sobie Opowieści Szeherazydy i Ragadon, w wydaniach ziemskich, wcale niezakurzone, bo przecież w zaświatach nie ma kurzu ani chorób ani brzydkich zapachów. Może są tam w ogóle tylko książki, a Bóg jest nie wielkim zegarmistrzem, lecz Wielkim Bibliotekarzem?

Kiedy miałem jakieś szesnaście czy siedemnaście lat wydawało mi się, że łatwiej dostać się do nieba niż do dobrze zaopatrzonej biblioteki. Rachunek sumienia nie wystarczał tam, gdzie trzeba było się wykazać dowodem osobistym.

Kim byłbym dzisiaj, gdybym przyszedł na świat w Wolfratshausen, gdzie widziałem na własne oczy, jak czytelniczka pakuje do samochodu czterdzieści wypożyczonych właśnie książek?

Kim byłbym dzisiaj, gdyby nie wpuszczono mnie do mojej pierwszej biblioteki na podstawie legitymacji szkolnej?

Zawsze miałem wrażenie, że czytać zacząłem strasznie późno. Nadrabiałem zaległości, mieszkając w bibliotece. Spędzałem w czytelni popołudnia i wieczory, spędzałem ferie szkolne i wakacje. Szedłem w pośpiechu ulicą Kopernika, wracałem – zawsze lekko oszłamiony. W katalogach wypełniało się rewers z czerwonymi rubrykami, zamówione pozycje odbierało się przy windach. Starszy pan w błyszczącym granatowym fartuchu i elegancka pani w średnim wieku wyjmowali stosy książek otwierając urządzenia przypominające drzwiczki piekarnika. Wprost do moich rąk zjeżdżali gdzieś z bibliotecznego nieba Goethe, Eliot, Supervielle, Herbert, Unamuno.

Natomiast patron mojej pierwszej biblioteki był jak najbardziej świecki, a nawet ideologicznie bardzo słuszny. Trochę wstydzę się, że w mojej nieprawomyślnej pamięci nie istnieje Biblioteka imienia Piłsudskiego. Dla mnie znajdowała się tu zawsze

Biblioteka imienia Waryńskiego. Do kontrowersyjnego patronatu nie przywiązywałem nigdy żadnej wagi. „Idę do Waryńskiego” – mówiłem mamie. „Trzeba będzie poszukać tej książki u Waryńskiego”. Tak się wtedy w Łodzi mówiło. Inną osobliwością były skróty. Konkurencją dla „Waryńskiego” stanowiła Biblioteka Uniwersytetu Łódzkiego, zwana w skrócie BUŁ-em albo bardziej pieszczotliwie BUŁ-q. Szło się więc po książki do BUŁ-y!

Na pierwszym roku studiów – razem z Wojtkiem Karpowiczem – zaczęliśmy pisać powieść zatytułowaną MORD W BULE. Nie przypominam sobie, by ta krwawa historia została kiedykolwiek dokończona. Pamiętam jednak, że jednym z bohaterów był



znany łódzki profesor, bywalec uniwersyteckiej czytelni. Przekonywałem Wojtkę, że starszy pan prowadzi podwójne życie.

Pożyczano zawsze tylko dwie książki. Z czasem nauczyłem się starannie planować pracę, unikać przypadkowych lektur, wypełniać jak najlepiej biblioteczny czas. Obok numerów katalogowych zapisywałem w notesie liczbę stron. Pewnych wielotomowych dzieł nigdy nie przeczytałem, inne poznałem z dużym opóźnieniem. Czytanie „tylko na miejscu” ma swoje zalety i wady.

Chyba tylko raz siedziałem w czytelni sam jeden, doświadczając rozkoszy absolutnej ciszy. Było to

w 1974 roku, gdy Polska grała półfinałowy mecz piłkarski o mistrzostwo świata. Siedziałem sam, choć umówiłem się z przyjacielem, który jednak nie przyszedł, bo wolał oglądać transmisję. Pewnie miał rację. W końcu dziś nie wiem nawet, co wtedy czytałem. Ale pamiętam, że Polska przegrała 0:1 i do finału weszli Niemcy...

„Waryński” miał swoje tajemnice. Chyba nigdy nie odmawiano mi tu książek „z uwagi na wiek” albo z jakichś innych powodów. Pamiętam, że wywołałem sensację czytając w szkole emigracyjne wiersze Czesława Miłosza. Był rok 1970 albo 1971 i chyba żaden z moich szkolnych kolegów o Miłoszu nigdy nie słyszał. Milczały o nim również szkolne podręczniki i prasa literacka. U „Waryńskiego” Miłosz był – przypadkiem albo świadomie przeoczone przez kogoś Światło dzienne wydane przez paryską „Kulturę” w 1953 roku, zawierające chyba najlepsze wiersze przyszłego noblisty. Zdaje mi się, że przepisałem tę książkę w całości, ale może ograniczyłem się tylko do wierszy, które mi się najbardziej podobały? Skąd mogłem wiedzieć, że niedługo będę mógł kupić Miłosza w drugim obiegu?

Chyba od tego czasu pozostał mi nawyk sięgania po zakazane i niedostępne powszechnie pozycje. W BUŁ książki emigracyjne były oczywiście nieosiągalne. Jednak niektóre z nich ukazały się przed wojną i dlatego można było pożyczać do domu Nowy wspomniały świat Huxleya, Podróż do kresu nocy Céline’a albo Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy Piaseckiego. Zawsze też lubiłem czytać coś, co jest niepopularne, otoczone niechęcią, zwalczane albo po prostu zapomniane.

Tylko przez jedenaście miesięcy pracowałem na etacie w Łodzi i to dzięki warszawiance. Niewiele wiem o dzisiejszej Łodzi, jej pisarzach, artystach, animatorach kultury. Trochę lepiej znam polonistów, bo spotykamy się czasem na różnych konferencjach naukowych. Niektórych łódzkich badaczy zresztą też nie znam, bo zajęli miejsce moich nauczycieli akademickich stosunkowo niedawno.

Historia ostatnich trzydziestu lat jest na pewno niezwykła, ale jednostkowe losy ludzkie cechuje jednak pewne podobieństwo. Gdybym więc dopisał teraz fragment pod hasłem „Nasza klasa”, brzmiałby on mniej więcej podobnie jak słynna piosenka Jacka Kaczmarskiego.

Kasia i Gosia są w Kanadzie, Henryk w Stanach, Edek we Francji, Anka w Bułgarii, Dorota w Finlandii, Wojtek w Austrii, Jacek w Londynie, Ula w Koszalinie... Adam, który pożyczył mi na wakacje Prozę Brunona Schulza i Śmierć Artemia Cruz Fuente-sa, jest wiolonczelistą w Hiszpanii i ma swój kwartet smyczkowy (a w szkole uważali, że nic z niego nie będzie, bo opuszczał lekcje i palił papierosy). Nie ma baru „Balaton”, gdzie umawiałem się na spotkania i nie ma kina „Adria”, gdzie obejrzałem swój pierwszy w życiu film. Zmieniło się wszystko – na lepsze albo na gorsze. Kto wie?

Na to pytanie nie ma sensownej odpowiedzi, chyba że posłużymy się wyborną anegdotą.

Meksykański pisarz Rulfo telefonuje do Borgesa (a może na odwrót?). „Cóż słysząc, Rulfo?” pyta Borges. „Ach, umieram, mistrzu, umieram”, jęczy Rulfo. Borges na to: „To dobrze Rulfo, to dobrze. Nudno byłoby tak tkwić w wieczności”.

Nie ma więc już mojej łodzi i nie ma mojego „Waryńskiego”.

To dobrze, Rulfo, to dobrze...



W obiektywie Jana Tomkowskiego „Chicago o zmierzchu”.

Jan Tomkowski

Moje powiększenia

Gdybym powiedział moim studentom, że pierwsze fotografie zrobiłem jeszcze w latach siedemdziesiątych, byliby święcie przekonani, że musiałem wówczas używać płyt szklanych, a fotografowani stali zapewne nieruchomo przed obiektywem co najmniej minutę. W rzeczywistości tak źle nie było. Każdy kiosk „Ruchu” ofiarowywał wówczas fotoamatorowi filmy FOTO-PAN albo ORWO, na których – o ile nie były wystawione przez panią kioskarkę na słońce – naprawdę dało się coś utrwalić. Wyposażeni w aparaty SMIENA, a czasem ZENITY i PRAKTIKI ruszaliśmy w plener wierząc, że świat stoi przed nami otworem.

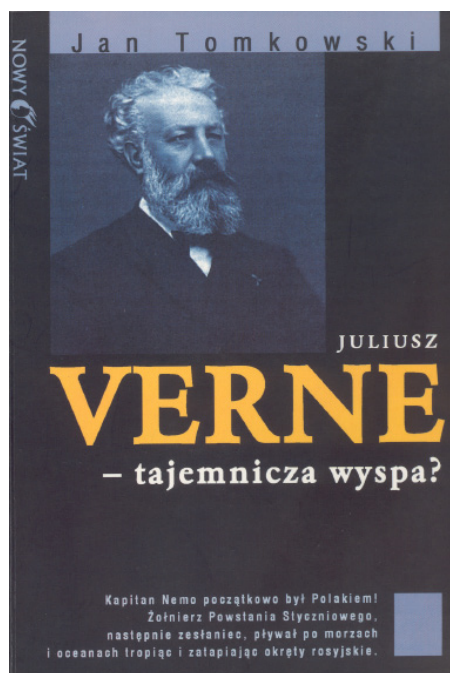
Fotografia w tych latach zaczynała się, a nie jak dziś kończyła z chwilą otwarcia migawki. Największe przygody czekały nas dopiero w ciemni, rzecz jasna o ile zaopatrzyliśmy się w białe woreczki zawierające odpowiedni wywoływacz i utrwalacz. Zdjęcie powstawało naprawdę dopiero w słabym świetle powiększalnika. Kiedy pierwszy raz zobaczyłem, jak na zanurzonej w roztworze papierze wyłania się twarz bliskiej mi osoby, utrwalona na zawsze, opierająca się niszczącym działaniom czasu, miałem wrażenie jak gdybym wkraczał do wieczności. Na zawsze pozostaną mi w pamięci nieprzespane noce, ro-

dzinne awantury z powodu blokowania łazienki, niepewność, jak schnące jeszcze zdjęcia prezentować się będą o poranku.

A potem przyszła epoka slajdów i to był właściwie początek końca. Były kolorowe i ładnie wyglądały na ścianie albo jeszcze lepiej specjalnym ekranie dodającym barwom upragnionej intensywności. Slajdów nie dało się wywoływać w mieszkaniu, podobnie jak filmów KODAKA, które wkrótce potem podbiły nie tylko Polskę, ale i prawie cały świat. Już wówczas było wiadomo, że na fotografii znajdują się wszyscy, podobnie jak na piosence i medycynie. Aparaty stały się ogromnie proste, a wiara, że każdy posiadacz kompaktowej „małpki” może być artystą – po prostu niezachwiana.

Obserwowałem ze zdumieniem, jak moi znajomi próbują za pomocą małej lampy błyskowej oświetlić potężną katedrę, by wykonać udane zdjęcie nocne. Ktoś tłumaczył mi, że nie należy nigdy fotografować modelu z profilu, zawsze powinien on stać na baczność, z wyprostowanymi wzdłuż ciała rękami i wzrokiem utkwionym w oko obiektywu. Z uporem godnym lepszym sprawy codziennie miliony turystów starały się sfotografować rzymskie Coloseum, wieżę Eiffla, a nawet arcydzieła malarstwa wiszące w muzeach.

Mimo wszystko każdy posiadacz aparatu nowej generacji i filmu KODAK miał bezwzględną przewagę nad



właścicielem zacinającego się ZENITA i niepewnej czarnobiałej błony. Technika cyfrowa jeszcze pogłębiła tę przeprawę.

Kiedy w latach osiemdziesiątych chciałem nadać moim fotografiom odcień sepii, zaprzyjaźniony zawodowiec wypisał mi na karteczce wszystkie chemikalia potrzebne do przeprowadzenia tego procesu. Pojechałem do Warszawy, do sklepu z odczynnikami na Nowym Świecie, dziś już oczywiście nieistniejącego. Pani nie chciała oglądać karteczki. Mam dziś trzy odczynniki, powiedziała. Bierze pan czy nie? Trwał kryzys. Jak można było myśleć o sepiowaniu zdjęć?

Dziś wykonuje się tę operację jednym kliknięciem komputerowej myszki. Można ją też przeprowadzić od razu w aparacie – nawet średniej jakości modele wyposażone są w tę funkcję. Fotografowanie sprawiało mi zawsze ogromną przyjemność, ale jest to (i zawsze było) hobby dość kosztowne. Oczywiście nigdy nie było mnie stać na bardzo dobry sprzęt, a pierwszego w życiu NIKONA kupiłem bodaj w zeszłym roku i to na promocji.

Bardzo szybko odkryłem, że naprawdę nie warto fotografować tego, co pokazują tysiące pocztówek. Ich producenci mają o wiele więcej możliwości niż amator poszukujący daremnie najdogodniejszego punktu widzenia, nękaną przez zapelniające ulice i place tłum, przejeżdżające nieustannie samochody i nierzadko mało sprzyjającą pogodę.

Fotografia sporadycznie tylko bywa sztuką, ale nie musi być również bezmyślną reprodukcją rzeczywistości. Gdzieś pośrodku jest bardzo dużo miejsca dla hobbystów takich jak ja, obdarzonych przeciętnymi umiejętnościami i dysponujących standartowymi środkami technicznymi.

Dlatego nie przywiązywałem nigdy wielkiego znaczenia do fotografowania pejzaży i architektury, kwiatów i przedmiotów, choć i w tej materii od czasu do czasu udawało mi się uwiecznić coś godnego uwagi. Ponieważ wydają często książki bogato ilustrowane, sporo zamieszczonych w nich fotografii to moje dokonania. Warto więc podczas każdej podróży dzwigać ze sobą aparat i obiektyw. Wie-

rzyłem natomiast zawsze, że tylko fotografii ludzi, zwłaszcza portretowe, są naprawdę niepowtarzalne i warto je robić nieustannie, w każdej chwili naszego życia.

Portret to szczególna dziedzina fotografii. Szanse zawodowców i amatorów są tutaj bardziej wyrównane niż w gatunkach takich jak akt, krajobraz, fotografia reporterska. Profesjonalista wie, jak oświetlić model, jak uniknąć wyeksponowania pewnych mankamentów, wyretuszować, wygładzić, upiększyć. Ale nigdy nie ma tyle czasu ani cierpliwości co zafascynowany fotografowanym obiektem amator.

Wcale nie oznacza to, że zrobiwszy wreszcie wspaniały portret doczekamy się satysfakcji. Większość ludzi nie ma pojęcia o swoim prawdziwym wyglądzie. Nawet piękne dziewczyny bywają rozczarowane zdjęciami, którymi zachwycają się wszyscy inni. A już tłumaczenie, że w przypadku fotografii nie chodzi wcale o to, by „ładnie wyglądać”, jest oczywiście najzupełniej daremne.

Pod tym względem kiedyś powodziło się fotografom znacznie lepiej: mogli powiedzieć po prostu, że zdjęcia nie wyszły, zaginęły w laboratorium albo zostały prześwietlone. Dziś, gdy rezultat widać od razu, taka wymówka okazuje się mało skuteczna.

Fotografia jest dziś inną dziedziną, dostępną dla każdego, rozwija się naprawdę wspaniale i trudno – dysponując technologią XXI wieku – marzyć o powrocie do przeszłości. A jednak najpiękniejszy film o fotografii nakręcono prawie pół wieku temu. Oglądałem niedawno Powiększenie Michelangela Antonioniego po raz... czy ja wiem? Piętnasty albo dwudziesty? Oglądałem i nie czułem znużenia. Nie przeszkadzał mi zupełnie archaiczny aparat w dłoni bohatera, brak komputera, ciemnia wyposażona w szczypce, kuwety i czerwoną żarówkę, jakiej przez tyle lat sam używałem. Najwidoczniej w fotografii nie chodzi ani o techniczną doskonałość, ani o wygodę, ani nawet oryginalność?

Chodzi o coś zupełnie innego.

Ale tę zagadkę każdy fotografujący musi rozwiązać na własną rękę.

Grzegorz Kozyra

Wokół eseistyki Jana Tomkowskiego: notatki o samotności, wierności i rozpacz

1

Słucham Maurice'a Ravela „Pawanę dla zmarłej infantki” i odkrywam, że śmierć zagląda w moje oczy. Śmierć ma oczy przenikliwe jakby chciała mnie zmiażdżyć, jakby chciała mnie odciąć od życia.

Parki plotą swą nić i czekają na moment ostateczny. Trzy Parki. Trzy kobiety. Trzy słowa. Wypowiadają je powoli: samotność, wierność, rozpacz. Dlaczego te trzy? Bo są bohaterkami trzech książek z mojej biblioteki. Trzech **książek eseistycznych: o samotności, o wierności i o rozpacz**. Jednego autora.

Samotność można skojarzyć z pisanie, modlitwą, egzystencją; **wierność** potraktować jako najważniejszy obok sprawiedliwości i miłosierdzia atrybut Boga; **rozpacz** powiązać ze łzami, melancholią, szaleństwem.

Nie da się żyć w cywilizacji śmierci bez książek. Bez Biblioteki. Zwłaszcza wtedy, kiedy widzimy śmierć w każdym domu, na ulicach miast, w zaułkach Brasillii i Sao Paulo, w Kongo i w Korei. W Caracas i w Bombaju. Biblioteka jako ucieczka. Porządek ludzki i porządek kosmosu.

Proroctwo Samuela mówi o dziecku zrywającym okowy śmierci. Ale Matkę przenika miecz, a Jemu sprzeciwić się będą.

Gnoza jest pamiątką starożytności. Jej iskry wciąż mają znaczenie. Jeżeli dostrzeżę się gnozie u Słowackiego, można przytaknąć. Gnoza u Mickiewicza i u romantyków – owszem. Goethe pisał o stosunku gnozy do chrześcijaństwa: „Ona go wciąż, on w głąb zapada”. Zdaniem Gillesa Quispela przyciągały się wzajemnie i zarazem odpychały, nie rozumiały się wzajemnie, ale chciały się związać.

Tomkowskiego postawa wobec gnozy jest ambiwalentna, ale jednak fascy-

nuje go, choćby z tego powodu, że elementy gnozy i manicheizmu występują w poglądach ulubionej jego pisarki **Simone Weil**.

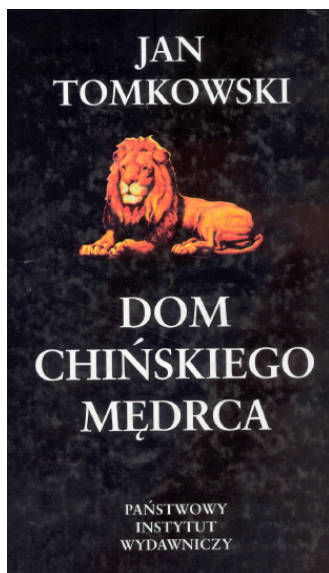
Była kobietą niezwykłą, szaloną. Pietro Citati pisze o niej: Ifigenia i Antygona czasów nowożytnych, która chciała wziąć na siebie wszystkie nieszczęścia XX wieku. Twierdząc, że Bóg jest źródłem zła, oddalała się od chrześcijaństwa. Pisząc o obojętności Boga, i głosząc pochwałę nieszczęścia, zapominała o Raju i zbawieniu.

Czy ktokolwiek wie, że okres „gnozyjski” w swojej twórczości miał także Maurice Ravel? Jednak „gnozyjskie” melodie to bardziej kwestia metafizyki odbioru, która wyczula nas na pewne dźwięki. Wtedy naprawdę „odpływamy”. W której więc sonacie słyszymy owe elementy gnostyckie? Oto zagadka dla miłośników Ravela. W Sonacie G-dur czy A-moll???

Mój sprzeciw budzi herezja i gnoza. Bliższa mojemu sercu jest mistyka. Czerpiąc soki z pism św. Teresy z Avila i św. Jana od Krzyża, odkrywam Boga nie filozofów, ale Serca. Nie Rozumu, ale Ekstazy. **Jedną z ważniejszych książek eseistycznych Tomkowskiego poświęca mistyce i herezji.** Spędza nad pismami Jana Eckharta, Jakuba Boehme’a, Jana Schefflera, Emanuela Swedenborga, Williama Blake’a, Richarda Jefferiesa, Gustave’a Meyrinka, Gerarda Tersteegeny, Novalisa, Valentina Weigela kilka lat. Wydaje książkę, którą warto polecić każdemu miłośnikowi eseju. Dlaczego? Chociażby dla jednego tylko tekstu: „Infernus” opisującego piekło w „Boskiej Komedii”. Radość obcowania z taką eseistyką rodzi się z naszej niewiedzy. Tak. Jedynym wyjściem byłoby wtedy zajrzenie do Biblioteki i przypomnienie sobie wszelkich kontekstów. Najoczywistsze są Borgesowskie z jego genialnymi esejami o Dancie. Ale nie tylko. Także polskie konteksty są ważne. Bolesław Miciński. Jego „Podróż do piekieł” są klasycznym przykładem eseistyki przewrotnej, w której spowiedź łączy się z admiracją dla dzieł sztuki i filozofii. Przecież bohaterami jego najlepszych tekstów byli Kant i

Kartezjusz.

Mój ulubiony Borges; myślę, że także Borges Tomkowskiego, to błyskotliwy erudyta, który dzięki jednemu zdaniu z epokowego dzieła, jakim jest „Boska Komedia”, dochodzi do wybornych konkluzji. Cytat przeświecony jest całą historią narosłych od wieków domysłów, analiz, komentarzy. Nie spodzie-



walibyśmy się nigdy, że jedna fraza pisarza może zabrzmieć odmiennie dla wielu komentatorów i filologów. A tak jest naprawdę. Borges dokonuje wiwisekcji słów, podróżuje wraz z Dancie i Wergiliuszem po piekło, by w eseju „Ostatni uśmiech Beatrycze” spotkać się z damą serca Danciego, która znika w życiu poety po raz wtóry. A może jej zniknięcie, „odwrócenie twarzy ku wieczności”, jest właśnie tym dla poety, czym dla nas odkrycie jego genialności?

Ruch odbywa się pomiędzy Ty i Ja. Ja i Ty. Już bez samotności. Ale w relacji z Kimś. To także spełnienie wszelkiego ruchu. Ruch jako sens bytu. A może jako zasada bytu. Jestem blisko Kartezjusza czy Buber’a?

Relacja między mną a Tomkowskim rodzi się z **miłości do Biblioteki**. Nieskończonej Biblioteki. Odkrywam autora „Mistyki i herezji” i staram się wytłumaczyć, że herezje zabijają ortodoksję, a heretycy są dzisiaj wszędzie mile widziani. Chesterton rozprawiał się z nimi przy pomocy

paradoksu, satyry i ironii, ale czy mu się udało? Mimo wszystko heretycy to uzurpatorzy złych snów.

2

Tomkowski jest **mistrzem słowa**. Tomkowski **pisze jak rasowy eseista**, ma przeogromną wiedzę, zna wiele tekstów prawie na pamięć – wszystko w jego książkach jest **wypracowane, nieskazitelne, czyste**. Wypolerowany styl przypomina mi **nieskazitelne piękno wazy chińskiej, której uroda zdumiewa**. Skąd wzięło się u Tomkowskiego odwołanie do „domu chińskiego mędrca”? Niby proste. Bo taki dom łądzi dramatyczny konflikt pomiędzy Biblioteką a światem. Dom nie roztapia się, nie znika, zachowuje swoją tożsamość wobec nieskończonej Biblioteki. Uporządkowany chiński dom.

Jeden z ulubionych pisarzy Tomkowskiego – **Hermann Hesse** kochał, tak jak Józef Knecht z „Gry szklanych paciorków”, literaturę chińską. Może bardziej niż europejską. Hesse był samotnikiem, outsiderem takim samym jak w XIX wieku Nietzsche. To oni są gośćmi „Domu chińskiego mędrca”. Ale Kafka – ten osobliwy praski samotnik – także.

Porównanie bohaterów książek Kafki – Józefa K. i Gregora Samsy do Hioba jest niewątpliwie odkrywcze. Czy można jednak na tym poprzestać? Dlaczego Tomkowski za wszelką cenę chce udowodnić, że Boga u Kafki nie ma? Bóg autora „Zamku” jest Bogiem chasydów, Bogiem ukrytym, Bogiem „wygnanym”.

Walter Hilsbecher twierdzi, że celem bohatera „Zamku” nie jest ani zamek, ani wtopienie się w społeczność wsi. Najważniejsze jest dla niego jego powołanie.

Tao (droga). A może chodzi jednak o poszukiwanie Boga (tego ukrytego, tego „wygnanego”)?

Oczywiście, **za swojego nauczyciela uważa Tomkowski Jerzego Stępcowskiego**, tak w każdym bądź razie chciałby pisać. **Erudycja, czystość, przejrzystość i znajomość języków** to nie jedyne podobieństwa w strate-

gii twórczej obu pisarzy.

Stempowski ma wyśmienitych uczniów: Boleśława Micińskiego i Jana Kotta. Eseistów i erudytów. **Tomkowski** jest ich wnukiem.

„Orfeusz w piekle XX wieku” Józefa Wittlina składa się z esejów, w których temat jest zgoła iluzoryczny, naszkicowany ledwo piórkiem, są tam także quasi felietony na tematy historyczne i literackie, są wspomnienia z podróży, między innymi z ukochanego Lwowa, recenzje i małe portrety literacko-psychologiczne. W zasadzie to całokształt spuścizny Wittlina, oprócz jego poezji i genialnej powieści „Sól ziemi”. Wittlin, tak jak wielu doskonałych polskich eseistów ubiegłego wieku (Miciński, Ważyk, Kubiak, Jastrun, Iwaszkiewicz, Parandowski) jest miłośnikiem klasyki i śródziemnomorza, i chyba dlatego jego największe osiągnięcia wiążą się z takimi właśnie motywami. „Orfeusz w piekle XX wieku” to jeden z najwspanialszych tekstów w krótkich dziejach polskiej eseistyki.

Chciałbym dodać: „**Dom chińskiego mędrca**” to kolejny **genialny** tekst w trochę już wydłużonych, po XXI wiek, dziejach literatury polskiej.

Jedynym ratunkiem dla cywilizacji śmierci jest zmiana myślenia. Myślenie przeciwko śmierci oznacza myślenie za życiem. Tchnienie życia to duch. Kłopot w tym, że w duchy nikt już nie wierzy.

W analizie „Tako rzecze Zaratustra” Tomkowski zwraca uwagę przede wszystkim na samotność Nietzschego, na jego nieskończoną wędrówkę, dialog z samym sobą. Droga od wielbłąda do dziecka to nie tylko droga przeciwna starzeniu, to także idea Wiecznego Powrotu tak doskonale wytłumaczona przez Nietzschego na przykładzie Dionizosa – jego ćwiartowania i zmartwychwstania.

3

Biblioteka pisana z dużej litery jest **światem i domem dla Jana Tomkowskiego**, który potrafi wytłumaczyć swoje **fascynacje** i ze **swadą** oraz **językową wirtuozerią** o tym opowie dzieć. Robi to w sposób **imponujący**

w „**Zamieszkać w Bibliotece**”, zagłębiając się w takie tematy jak **magiczne miasta literackie**, jak **potrawy literackie**. Opisuje nieśmiertelnych bohaterów: Don Kichota, Fausta, Don Juana i wielkie miłości: Romea i Julii, Tristana i Izoldy. Znajomość literatury powszechnej jest **doskonała**, co widać w anegdotach, w opisach, w fascynujących opowieściach zrodzonych przez wielkich geniuszy poprzednich epok.

W tej interesującej lekturze napotykamy także rozdział o **kanonie XX-wiecznej literatury**. Oto **lista Jana Tomkowskiego**: „W poszukiwaniu straconego czasu”, „Ulisses”, „Ziemia jałowa”, „Elegie duinejskie”, „Czarodziejska góra”, „Absalomie, Absalomie”; „Nathalie i inne opowiadania” Bunina; „Gra szklanych paciorków”; „Proces”; „Mistrz i Małgorzata”; „Proza” Schulza; „Myśli o człowieku” Simone Weil; „Eseje” Camusa; „Pod wulkanem” Lowry’ego; „Dziennik” Gombrowicza; „Błaszany bębenek” Grassa; „Poezje zebrane” Herberta; „Schody Strudlhofu” von Doderera; „Niezdolna lekkość bytu” Kundery; „Miłość w czasach zarazy” Marqueza.

Moja lista wygląda trochę inaczej: „Czarodziejska góra”; „W poszukiwaniu straconego czasu”; „Mistrz i Małgorzata”; „Poezje i eseje” Herberta; „Poezje i eseje” Josifa Brodskiego; „Elegie duinejskie”; „Gra szklanych paciorków”; „Ulisses”, „Pod wulkanem”; „Poezje” Kawafisa, „Poezje i eseje” Eliota, „Człowiek, który był

czwartkiem”; „Człowiek bez właściwości”, „Śmierć Wergilego”; „Proza” Schulza, „Proces”, „Szaleństwo miłości” Simone Weil; „Eseje” Camusa; „Opowiadania” Borgesa; „O bohaterach i grobach” Ernesto Sabato.

Jednym z ulubionych pisarzy Tomkowskiego był **Juliusz Verne** - utopista i wizjoner, którego książkowe pomysły zostały zrealizowane i to bardzo szybko. Oczywiście, wiele z nich to tylko utopijne mrzonki – nigdy bowiem nie odbyła się podróż do wnętrza Ziemi i raczej trudno ją sobie wyobrazić w przyszłości. Chyba, że odkryjemy super pojazd zbudowany z takiego materiału, który nie rozpułynie się w olbrzymich temperaturach. Tomkowski zdaje sobie sprawę z tego, że wiele pomysłów Verne’a to mrzonki. Ale – podkreśla – to nie znaczy, że dzisiaj mamy nie czytać tego francuskiego podróżnika i miłośnika fantastyki. Najbardziej więc mu żal, że Verne nie cieszył się już taką popularnością jak za jego młodości, że wielu młodych ludzi nie czyta jego książek. Verne przestał być lubiany?

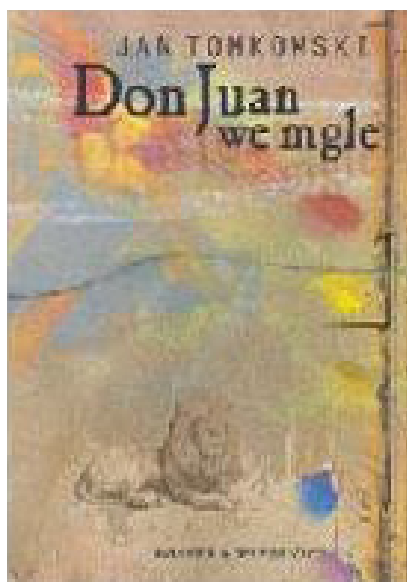
Najciekawsze w książce o Vernie są trzy rozdziały dopisane jako postscriptum: „**Balon pełen Spinozy**” (ciekawa analiza „Bouvarda i Pecucheta” Flauberta na tle twórczości Verne’a), „**Juliusz Verne na brygu „Banbury**” (czyli Gombrowiczowskie spojrzenie na autora „Pięciu tygodni w balonie”) oraz „**Juliusz Verne zamordowany?**” (analiza Bułhakowskiej „Szkarłatnej wyspy”, satyry na czasy porewolucyjne, na czasy choroby ludzkości).

4

„Wierność z ziemi wyrośnie”
Psalm 85

„Pan nagradza za sprawiedliwość i wierność”
Księga Samuela

Eseje o **wierności** mają wiele wspólnego z esejami o **samotności**. Dlaczego? Ponieważ rozwijają wiele tematów, które pojawiły się w poprzedniej książce. Samotność poetów takich jak Władysław Ordon, Leonard Sowiński, Władysław Stebelski, Maria Bartu-



sówna. Samotność bezdenna. Kto zna dzisiaj i czyta wymienionych pisarzy? Ich osamotnienie, niezrozumienie, brak społecznej aprobaty były dla pozytywizmu klęską. Dla młodych ludzi żyjących w XXI wieku byłoby być może poetami przeklętymi, ale czy adorowanymi? Wtedy ich życie stawało się nic nieznaczącym ognikiem, małą wyprawą na ścieżkach historii. Pozytywizm zabijał wrażliwców.

Krzyk białej mewy nad Nowym Światem. Skrzydła, które łopocą jak flaga na wietrze. W oddali widać krzyż.

Krzyk rozpaczcy.

Stłumiony szloch o pytanie: „Gdzie jesteś, kiedy Cię nie ma? Gdzie bywasz, kiedy zapominasz o lnych?”

Krzyk, który jest bólem istnienia.

Wierność jest postawą milczącej zgody, admiracji lnnego. Wierność jest bezdenną sprawiedliwością.

Wierność wobec własnego dzieła – oto racja wyższa **Witolda Gombrowicza**. To ona była kształtem jego życia i snów. Pośmiertnej sławy. Ale Gombrowicz Tomkowskiego to przede wszystkim autor „Dzienników” – kod to zrozumienia jego pisarstwa.

Wierność to przede wszystkim uczciwość, bezgraniczne zaufanie. Całkowicie wiernym może być tylko Bóg.

Doskonałość **Herberta** leży w wierności sobie i Muzom. „Bądź wierny – idź” to słowa dziś wyświechtane, ale wciąż doskonałe. Mówią o formule człowieczeństwa.

Nie zgodzę się z Tomkowskim, że wierność ideałom skazywała poetę na bezgraniczną samotność. Artysta jest zawsze samotny nawet wtedy, gdy otacza go tłum adoratorów.

Egzystencja to ból. Ale bez esencji, czyli bez ducha materia odrzucająca pamięć staje się czystym bólem istnienia.

5

Obok **rozpaczy** nadzieja. Życ w nadziei, zupełnie inaczej niż nadzieją. W nadziei, bo sytuuję swój byt w konkretności. W tym, w czym jest gwarancja



cja sensu. W nadziei, a więc w tym, w czym żyć trzeba.

Rozpacz jest blisko cierpienia. Poza granicami cierpienia nie ma nic. Chyba, że odnajdzie się sens cierpienia z Bogiem. Cierpiał całe życie **Rilke**, ulubiony poeta Tomkowskiego. Cierpiał i snuł wizję cierpienia bez Boga. Jego życie stało się dramatem chwil traconych za cenę kolejnego wersu, kolejnej wyśpiewanej pieśni na cześć Orfeusza.

Orfeusz, mój ulubiony bohater, muzyk, artysta podobno znalazł się w Egipcie, by się zapoznać z misteriami. W eseju o nim Tomkowski snuje opowieść o półbogu, który bez Eurydyki bywa filozofem, albo mędrce, niekoniecznie zaś muzykiem i poetą. Trudno jednak wyobrazić go sobie bez liry i Eurydyki. Orfeusz rozszarpany przez Erynie nie lubił podobno kobiet. Ale to nieprawda.

Alberto Savinio pisze: Orfeusz nie gardził kobietami: on je kochał. Kochał je wszystkie w E u r y d y c e. Ścisłej mówiąc: kochał Eurydykę w s o b i e s a m y m.

Artysta jest w szczególny sposób człowiekiem samotnym. Mówi o tym nawet jego imię, które wywodzi się z greckiego orfanos i z łacińskiego orbus, i znaczy właśnie to: Samotny.

Kierkegaard był także człowiekiem nieszczęśliwym i samotnym. Według Tomkowskiego niepokoił i przerażał. Przede wszystkim był niezrozumiany. Umierać szybko i powoli. Coraz szybciej i coraz wolniej. Umierać tak, by

inni byli niepotrzebni. Umierać wbrew sobie.

Dla **Pascala** rozpacz utożsamiana z beznadziejnością wydaje się obca prawdziwej religijności. Pascal mówi o nadziei, którą daje wiara. Teologowie potępiają rozpacz jako wyraz beznadziejności. Tomkowski mówi o rozpaczy, z którą jest mu dobrze. Ale, z jaką rozpaczą jest mu do twarzy? Tą melancholijną? Czy tą egzaltowaną? Czy jest to rozpacz Hioba czy Owidiusza?

Ostatnia książka eseistyczna Tomkowskiego „**Ciemne skrzydła Ikara**” nie zaskakuje wielbiciela jego twórczości. Teksty pisane z **polotem i literacką werwą** opowiadają o rozpaczy, do której trzeba się **przyzwyczaić**, którą trzeba **oswoić**. Już pierwszy esej jest doskonałym wstępem do historii rozpaczcy. Im głębiej, tym ciekawiej – chciałoby się powiedzieć. I tak jest rzeczywiście. Niezapomniany tekst o Orfeuszu przeglądającym się w lustrze malarstwa i słuchającym dźwięków muzyki, np. zespołu Focus (czy ktoś jeszcze pamięta znaną w latach 70. ubiegłego wieku suitę Eruption?). I „Krótka historia łez”. **Majstersztyk. Klucz do zrozumienia rozpaczcy.**

Płacz jest ocaleniem. To prawda. Nie zapominajmy jednak, że jedna łza dziecka może już nie ocalić. Może wywołać pomieszanie zmysłów.

Gdy słucham „Pawany dla zmarłej infantki” Ravela, płaczę. Nie zastanawiam się, dlaczego płaczę, tylko pytam, skąd płyną łzy? Czy łzy mnie przemieniają? Płaczę, bo śmierć się zbliża.

Teologowie piszą, że rozpacz jest tam, gdzie jest bezsens. A tam gdzie są łzy?

Teologowie mówią, że nadzieja jest to rozpacz pokonana.

6

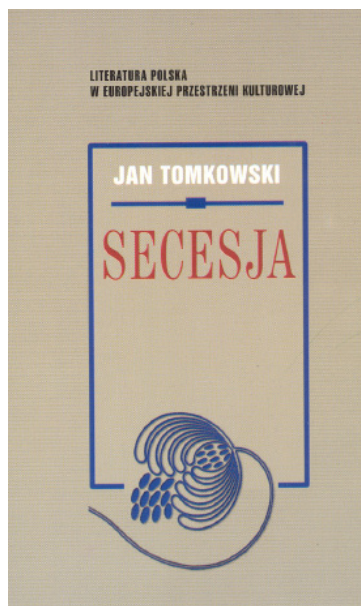
Teraz będzie niespodzianka z **secesją** w roli głównej.

Czy secesja jako temat literacki może być związana z polskimi twórcami? Ktoś poważny, a na pewno poważny naukowiec, drapiący się po głowie,

oznajmi z nonszalancją, że to kpina. Zwłaszcza, jeżeli do secesji zaliczymy Reymonta, Irzykowskiego, Schulza, Kuśniewicza. Powiedzmy, że zgodzimy się na Wyspiańskiego, Miriamę, Leśmiana. Powiedzmy, że zgodzimy się na Pawlikowską - Jasnorzewską. Teraz już nie dziwimy się, dlaczego Tomkowski musiał czekać na wydanie swojej książki kilka lat. **Naukowcy postanowili zemścić się na rewolucjonistach i nie dopuścić go do głosu.** Tymczasem wszystko da się udowodnić, i przekonująco pokazać. I eseista na przykładzie analizy literackiej kilkunastu pozycji daje odpór niedowiarkom.

Secesja w literaturze – tak owszem. A w jaki sposób i dlaczego? Choćby tak. „Rozprawa ukazująca Rilkego jako autora secesyjnego byłaby pewnie przedsięwzięciem daremnym, jednak analiza jego wiersza Łabędź, uwzględniająca secesyjne konteksty, to zadanie jak najbardziej celowe”. I autor analizuje utwory, w których odnajduje secesję, i przekracza granice epok, by pod koniec XX wieku u Piotra Wojciechowskiego też znaleźć elementy secesji. Zmienia się perspektywa badawcza i **rewolucjonista** nie jest już rewolucjonistą, ale **historykiem literatury**. Czy nie proste?

7
Historyk literatury Jan Tomkowski przemienia się w **eseistę**. Eseista Jan Tomkowski w historyka literatury. Ale esej i tak triumfuje.



Międzynarodowe Targi Książki, Warszawa, stoisko PIW-u, maj 1997 roku.
Od prawej: red. Tadeusz Nowakowski, Dobrosława Pańkowska i Jan Tomkowski.

Nigdy nie jest za wcześnie / z Janem Tomkowskim rozm. Krzysztof Masłoń // Rzeczpospolita 1998 nr 48 s. 27

Która edycja „Literatury polskiej” przygotowuywana jest w PIW-ie?

- Ósma.

(...) Wierzył pan w taki sukces, także handlowy?

- Brałem pod uwagę, że „Literatura polska” stanie się bestsellerem. W 1989 roku rynek książki się zmienił. Wydawcy domagali się czegoś innego, a ponieważ nigdy nie zabiegałem o jakieś dotacje czy granty, **nie pozostało mi nic innego jak napisać bestseller**. Nie podejrzewałem jednak, że moja książka stanie się czymś na kształt **podręcznika**. Spodziewałem się nawet, że będzie tępiona przez szkołę, gdyż w wielu punktach pokazuje literaturę niekonwencjonalnie, odbiegając od praktyki szkolnej. Rzekłbym, że moja książka polonistykę szkolną likwiduje, bo ta przecież opiera się na żelaznym podziale na okresy i epoki literackie, a ja przekonuję, że takich podziałów nie ma. (...) Myślę, że powinienem też wskazać jeszcze jeden powód napisania „Literatury polskiej”. Ta książka wyszła w 1993 roku, pisałem ją wcześniej, na przełomie 91 i 92 roku i wcale nie by-

łem pewny, czy sytuacja się nie zmieni, jak długo będzie można jeszcze pokusić się o wydanie takiej syntezy, która przecież przed 1989 rokiem nie była możliwa.

Nie sądzę jednak, że brał pan pod uwagę możliwość powrotu cenzury.

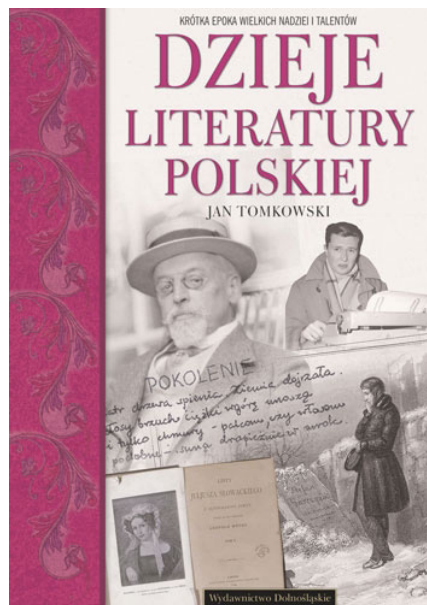
- Myślę, że co zostało zrobione, poszło w świat, to już istnieje i nie da się tego wymazać. Przyjęcie „Literatury polskiej” ze strony środowisk, nazwijmy je, lewicowych było zresztą symptomatyczne, bardzo niechętnie. Oburzenie wywołało np. dowartościowanie przez mnie dworów ziemiańskich, podkreślenie kulturotwórczej roli, jaką odegrały one w historii Polski. Nie podobało się też pominięcie Leona Kruczkowskiego, które – oczywiście – nie było spowodowane tym, że był on komunistą, lecz że był słabym dramaturgiem. (...) Oczywiście mogę się mylić. Obiecałem więc, że jeśli za dziesięć lat sztuki Kruczkowskiego będą wystawiane i ludzie będą na nie chodzić, to wprowadzę tego autora do „Literatury polskiej”.

W pana książkach znajduje się masa ciekawostek, a przecież jest

pan świadomy, że uczeń, który na początku lekcji usłyszy np., że Wyspiański umarł na kiłę, z całą pewnością to jedno zapamięta. Czy jednak potrafi zinterpretować „Wesele”, nie mówiąc o „Wyzwoleniu”? Wątpię.

- Przyczyny śmierci Wyspiańskiego są dziś akurat kwestionowane i nie wspominam o nich w „Literaturze polskiej”. Nie miałem obiekcji w ujawnianiu faktów, gdy uważałem, że są one ważne. Np. pisząc o tym, że Iwaszkiewicz kazał się pochować w mundurze górniczym, nie chciałem być złośliwy, ale dlatego, że wydarzenie to ilustruje czasy PRL-owskie i funkcje, jakie spełniała wówczas literatura. Swoje książki pisałem przecież **nie tylko dla uczniów**, lecz może najbardziej dla tych, którzy jakiś czas temu ukończyli szkoły i studia, gdzie nie mówiono o Miłoszu, być może i o Gombrowiczu, a na pewno nie o Herlingu-Grudzińskim, za to uporczywie twierdzono, że Baka to największy grafoman w historii literatury polskiej.

Moje książki są **funkcjonalne**. U mnie w domu „Literatura polska” stoi na najbliższej półce nie dlatego, że nie wiem, co napisali Żeromski i Prus, ale gdy chcę sprawdzić datę wydania jakiejś książki, to w PWN-owskim „Przewodniku encyklopedycznym – Literatura polska” szukać jej będę parę minut, a tu znajdę w mgnieniu oka.



Czy pańskie książki mogą zastąpić podręczniki?

- Na pewno nie, ale mogą być pomocne przed egzaminami, gdyż **porządkują wiedzę**. Mam do czynienia ze studentami, czasem też z uczniami i stwierdzam, że oni potrafią, mniej więcej, powiedzieć o co chodzi w „Dziadach”, „Panu Tadeuszu” czy „Lalce”, natomiast już próba ułożenia tych utworów w epoce najczęściej przekracza ich możliwości. A sądzę, że mało zrozumiemy z Mickiewicza, Słowackiego czy Prusa, jeśli nie będziemy wiedzieli, jak w epoce ludzie podróżowali, jak się ubierali, jak komunikowali się ze sobą. (...) To stwarza zupełnie inną **wizję epoki**.

Czy pisząc książki przeznaczone głównie dla młodych czytelników musiał pan zmieniać swój język: naukowca, badacza literatury?

- Zawsze wierzyłem, że nawet o najtrudniejszych sprawach można mówić **językiem eleganckim**, bliskim językowi literackiemu, a nade wszystko czytelnym. Zresztą „Literatura polska” zawiera pewne kryptocytaty z moich rozpraw akademickich. Może było mi łatwiej niż innym, gdyż w głębi duszy zawsze czułem się pisarzem. Nigdy nie istniał dla mnie ścisły podział na powieści, eseje czy takie **kolorowe książki**, jak „Literatura polska”, które zdaniem jednych są syntezami, a zdaniem innych – esejami. Myślę, że da się to wszystko pogodzić. Osobiście sądzę, że te książki są **esejami**, pisanymi, a niekiedy **rysowanymi czy ilustrowanymi za pomocą materiału ikonograficznego**. Z tym, że ilustracja ma u mnie zastępować tekst, a nie uzupełniać go.

„Dzieje myśli” zamykają trylogię pańskich kolorowych książek, chyba że będzie jeszcze jeden tom?

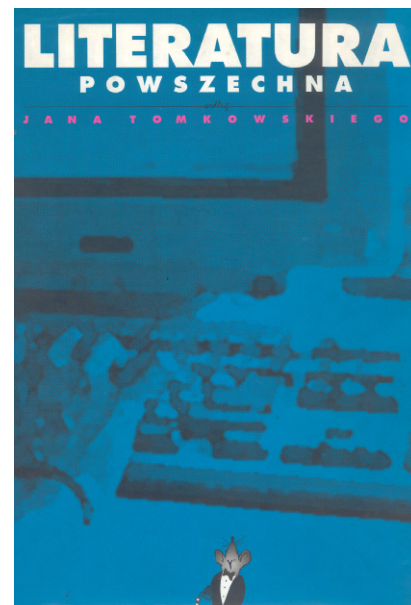
- Myślałem jeszcze o książce ukazującej powiązania literatury ze sztuką, z malarstwem, ale obawiam się, że z przyczyn finansowych nie znajdę wydawcy, który by sprost takiemu wyzwaniu.

Mówimy najwięcej o „Literaturze polskiej”, bo też jest to największy pański bestseller, ale nie od rzeczy będzie tu zauważyć, że z kolei „Literatura powszechna” nie ma na naszym rynku konkurencji, gdyż od lat **nie było podobnej syntezy**.

- Ostatnia powstała w końcu ubiegłego wieku i kończyła się na Corneille'u. A jest to książka potrzebna, bo zawsze np. uważałem za nieporozumienie, że na polonistyce studenci mają zajęcia tylko z jednej literatury obcej. Czyli co? Znają literaturę rosyjską, nic nie wiedząc o angielskiej czy niemieckiej? To bardzo źle, że absolwenci uniwersytetu nie znają dobrze Goethego czy Szekspira.

Jedna z najciekawszych stron „Literatury powszechnej” zawiera listę laureatów Nagrody Nobla z gwiazdkami przyznawanymi za słusność – bądź nie – tych wyborów. Niektóre z tych ocen zastanawiają, choćby pochwałą nagrody dla Sartre'a, kontrowersyjnej w końcu postaci.

- Sartre'a uważam za jednego z tych autorów, których niekoniecznie trzeba lubić, ale niektórzy wstrząsnęli swoją epoką i dlatego ta nagroda miała sens. Nie byłbym tego pewien w wypadku Toni Morrison czy ostatnio, Dario Fo. Nie znaczy to, że odmawiam książkom Morrison wartości, ale w Stanach Zjednoczonych jest wielu pisarzy znacznie większej rangi. W jednej ze



swoich czekających na wydanie prac zanalizowałem twórczość noblistów na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat, zadając pytanie: czy ktoś, kto by poznawał literaturę tych 20 lat wyłącznie na podstawie dzieł laureatów Nagrody Nobla, miałby o niej pojęcie? Musiałem odpowiedzieć negatywnie, stwierdzając, że skoro nie ma na tej liście Borgesa, Kundery, Grassa i wielu innych wielkich pisarzy, to można by ułożyć bardziej reprezentatywną listę alternatywną. (...)

Jak pańskie książki mają się do najbardziej znanych syntez literackich?

- Autorzy dawnych wielkich syntez literatury polskiej: Kleiner, Krzyżanowski, Chrzanowski pisali, jak na swoją epokę, bardzo ciekawie. Ale kiedy Krzyżanowski mówi o jakimś autorze, że „niezbyt liczne pozostawił pomniki swoich umiejętności”, to – oczywiście – ten styl bardzo mi się podoba, sprawia mi wielką uciechę, jednak zdaję sobie sprawę, że student czy uczeń tego nie strawi. Nie można go informować, że w 20-leciu „wypiekem chleba powszedniego zajmowały się dwie piszące panie”, ale dzisiaj trzeba mówić wprost: „Proza Dwudziestolecia: Dąbrowska i Nałkowska”. I już. Tamte syntezы mają walor historyczny. Interesuje nas, co Krzyżanowski sądził o Mickiewiczu, ale już wizerunek Witkacego, jaki proponuje – jako zbłąkanego dziwaka, jest nie do przyjęcia z tej przyczyny, że wiemy dziś o Witkacym dużo więcej. (...)

Moje książki rejestrują przewartościowania, jakie nastąpiły w ciągu naszego życia, nierzadko w ostatnich latach. Wprawdzie formowanie ocen pociąga za sobą ryzyko, ale – moim zdaniem – potrzeba sporządzania takich syntez istnieje i warto je robić. To tak jak z gazetami, w których nikt nie chce czytać wiadomości sprzed miesiąca. Przed 1989 rokiem nawet w moim Instytucie kwestionowano wartość nowych syntez. Kiedy zaproponowałem stworzenie nowej syntezy pozytywizmu, usłyszałem: „Jeszcze na to za wcześnie”. No nie, nigdy nie jest za wcześnie.

„Złota Dwudziestka” według Jana Tomkowskiego

Dwadzieścia książek (lekko licząc, w trzydziestu woluminach) to oczywiście za mało, by pokazać całą różnorodność literatury XX wieku, jej osiągnięcia i pomysły, jej arcydzieła, zbłąkania i zagadkowe komplikacje. Gdybym chciał wymienić teksty szczególnie mi bliskie, moja złota dwudziestka powiększyłaby się szybko do rozmiarów setki, a i tak miałbym wrażenie, że coś opuściłem. Spróbuję zatem inaczej. Zaprojektuję małą biblioteczkę dla czytelnika żyjącego w XXI wieku (...) Wyliczę dwadzieścia książek napisanych w XX wieku, bez których ludzkość byłaby niewątpliwie uboższa, które trzeba koniecznie w naszym krótkim życiu przeczytać.

1. Marcel Proust *W poszukiwaniu straconego czasu*
2. James Joyce *Ulysses*
3. Thomas Stearns Eliot *Ziemia jałowa*
4. Rainer Maria Rilke *Elegie duinejskie*
5. Tomasz Mann *Czarodziejska góra*
6. William Faulkner *Absalomie, Absalomie!*
7. Iwan Bunin *Nathalie i inne opowiadania*
8. Hermann Hesse *Gra szklanych paciorków*
9. Jorge Luis Borges *Proza*
10. Michał Bułhakow *Mistrz i Małgorzata*
11. Bruno Schulz *Proza*
12. Simone Weil *Myśli o człowieku*
13. Albert Camus *Eseje*
14. Malcolm Lowry *Pod wulkanem*
15. Witold Gombrowicz *Dziennik*
16. Günter Grass *Blaszany bębenek*
17. Zbigniew Herbert *Poezje zebrane*
18. Heimito von Doderer *Schody Strudlhofu*
19. Milan Kundera *Nieznośna lekkość bytu*
20. Gabriel Garcia Marquez *Miłość w czasach zarazy*.

Jan Tomkowski, *Zamieszkać w bibliotece*



Jan Tomkowski i Adam Zieliński (wówczas prezes, obecnie członek Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego)

Jan Tomkowski

Zanim przyjdą Chińczycy [komentarz autora i fragment niepublikowanej książki]

Bardzo dawno temu wydałem – w odstępie bez mała pięciu lat – dwie powieści. Trzecia pozostała w szufladzie, choć pisana była już w końcu lat osiemdziesiątych. Nigdy jej nie ukończyłem, a nawet nie przepisałem.

Dwa, a może trzy powody sprawiły, że w zeszłym roku sięgnąłem znów do teczek pełnej zapisanych kartek, bileków tramwajowych, zaproszeń, nawet stroniczek wydartych z kieszonkowego kalendarza.

Po pierwsze, czułem się okropnie sfrustrowany czytając rozmaite bestsellery podsuwane mi przez znajomych. Miałem wrażenie, że powieść przeobraziła się na moich oczach w jakieś okropne czytadło, interesujące już tylko dzięki mediom i reklamie.

Po drugie, przeczytałem wreszcie Adę Nabokova i pomyślałem, że chociaż nie jest to (na szczęście) nowość sprzed kilku tygodni, to jednak książka ta świadczy, że w powieści jest jeszcze coś do zrobienia.

Po trzecie, moje wiedeńskie wakacje jakoś nie chciały się zmaterializować i ostatecznie spędzałem letnie dni wstępując w pamięć komputera zapiski sprzed ćwierćwiecza, wędrując myślą po całym moim życiu, skreślając, dopisując, bawiąc się rozmaitymi szyframi, których może nikt nie zechce odczytać. Powieść nazywa się *Zanim przyjdą Chińczycy*, a jej niezbyt skomplikowana akcja rozgrywa się w czytelni miejskiej, w 1986 roku (tak ściśle określenie daty wydaje mi się nieodzowne, choć może trochę komiczne).

Nie będę się usprawiedliwiał, że fragment nie daje pojęcia o całości i że bardzo trudno było wykroić fragment z powieści, której sens odsłania się (albo i nie) dopiero po lekturze całości. To przecież oczywiste.

Dodam tylko, że prezentowany fragment pochodzi z osiemnastego rozdziału (powieść liczy ich dwadzieścia jeden). Narrator, który jest postacią dosyć dwuznaczną, znajduje zatrudnienie w czytelni miejskiej, ale władająca nią kierowniczką, nazywana zwykle Madame, odmawia mu dostępu do książek. Podobnie traktuje zresztą innych potencjalnych czytelników. Toleruje jedynie obecność starszego pana, który występuje w utworze jako doktor Theosophus. Prawdopodobnie jest

on pensjonariuszem domu dla umysłowo chorych, lecz być może również (albo przede wszystkim) tajnym agentem wykonującym szczególnie trudne misje.

W tej powieści wszyscy piszą – jedni tworzą traktaty, inni bajki, jeszcze inni donosy. To bardzo szczególny rodzaj literatury, w zamierzczłych czasach decydujący jednak o losach wielu ludzi, o ich karierze, a czasem nawet o długości ich życia.

Zanim przyjdą Chińczycy (fragment)

Spadł śnieg, lutowe mrozy trwały już drugi tydzień, a czarny kalendarz nie wróżył nam obfitości. Nie musiałem myć okien, oszczędzałem ciepłą wodę, Madame kazała mi tylko pościierać kurze. Lubilem to zajęcie, bo choć stałem odwrócony tyłem do rozmawiających, prawie wszystko słyszałem. Nauczyłem się poruszać bezszelestnie i spoglądać kątem oka, gdy zachodziła taka potrzeba.

Na przykład wówczas, gdy Theosophus z namaszczeniem rozpakowywał swe bagaże, w których mogła znajdować się zarówno zwykła drożdżówka, jak i zaginione archiwum Talleyranda. Dziś trzymał w ręku banalną z pozoru tekturową teczkę, wydobyl z niej regulamin czytelni działającej w jakimś egzotycznym kraju. Jak się domyślałem, chodziło tu o małe państewko położone na zapomnianym przez Boga i ludzi archipelagu. Książki były tam wyjątkowo cenne, czas taniej i masowej produkcji jeszcze nie nadszedł, choć w miejscowej szkole nie przykuwano już ciężkich podręczników łańcuchem do profesorskiej katedry.

Rzecz jasna, wątpiłem, by historia była autentyczna. Dokument sporządzony został wprawdzie po hiszpańsku, lecz Theosophus mógł go po prostu przepisać z jakiejś fantastycznej powieści. We wstępie autor regulaminu informował, że czytająca ludzkość znalazła się na rozdrożu i jeśli nie zostaną przeprowadzone gruntowne zmiany, któregoś dnia książki po prostu znikną. Jeszcze w czasach Gutenberga rzadki tom kosztował nabywcę kilka wsi, sto lat później – najwyżej jedną wieś. Cena systematycznie spadała i dziś można stać się posiadaczem wartościowego dzieła za cenę obiadu.

Większość ludzi woli jednak książki pożyczać, co samo w sobie nie jest złem, choć pożyczoną książkę traktuje się znacznie gorzej niż własną. Klienci publicznej czytelni wyrwywają całe strony, a nawet rozdziały, wycinając ilu-

strację, używają pożyczonych tomów jako przycisków albo podstawki do herbaty. Zostawiają ślady obślinionych palców, na marginesach mażą długopisem. Jeden z czytelników zniszczył piękną tłoczoną okładkę, by zrobić sobie wkładki do butów! Właściwie każdy trochę niszczy pożyczoną książkę, bo nawet ostrożne przewracanie kartek nie pozostaje bez wpływu na stan dzieła.

Dydaktyczny wstęp nie przynosił żadnych rewelacji. Na wielu książkach przynoszonych z biblioteki szkolnej przyklejone były podobne apele, których oczywiście nikt nie czytał, a już na pewno nikt nie zamierzał przestrzegać. Nie niszczyłem celowo nawet znienawidzonych szkolnych lektur, ale też i nie robiłem dramatu, gdy książka upadła mi na podłogę, na trawę czy nawet do wody.

Autor regulaminu przewidział każdą z tych sytuacji. Nabierałem coraz większej pewności, że był nim Theosophus. To tylko w jego chorym umyśle mogła zrodzić się idea, by każdy z czytelników podpisywał – i to własną krwią! – straszliwy cyrograf. Przewidywał on, że w przypadku zniszczenia książki czytelnik zgadza się ponieść karę. Musi mieć przy tym świadomość, iż chodzi wyłącznie o najwyższy wymiar kary.

Szubienica, gilotyna, ukamienowanie, dobrowolne samobójstwo – w tym względzie regulamin pozostawiał nieco swobody, wzywając do poszanowania lokalnej tradycji, panujących zwyczajów i technicznych możliwości. Trudno wyobrazić sobie, by wyroki musiał wykonywać sam bibliotekarz, słabo przygotowany do tej roli. Czytelnia powinna raczej zatrudniać miejskiego kata – w ograniczonym wymiarze godzin.

Doktor przerwał, zachwycony. A potem zapytał:

- Madame, czy zastanawiała się pani kiedykolwiek nad osobą kata? Na przykład jego głowa i serce – czyż są takie same jak u zwykłych ludzi?

Dyscyplina zależy w dużej mierze od solidności. Zabierzmy światu kata, a zapewniam panią, że natychmiast ład ustąpi miejsca chaosowi. Trony upadną, znikną szarże i hierarchie, a społeczeństwo pogrzeży się w bratobójczej walce.

- To właśnie należy zrobić, wtrąciła Madame.

Theosophus ciągnął dalej.

W czasach, gdy bezrozumne przesady opanowały świat, kat musi stać się profesją głęboko zakonspirowaną.

- Zostanę katem – rzekł niespodziewanie na zakończenie. – Oto moja nominacja.
Pokazał świstek papieru opatrzony kilkoma pieczęciami.
Nie przerywając froterowania podłogi, pomknął w kierunku biurka.
Madame była szybsza.
Zakryła dłonią arkusik, potem szybko zgięła go na pół.
- Bez żartów, proszę, to tylko pański dyplom doktorski! Lecz co widzę? Same trójki! I co gorsza, trójka ze śpiwowu!
- To nie dlatego, Madame, by brakowało mi pilności czy muzycznych talentów. Jednak moi nauczyciele uznali, że śpiewam fałszywie. Czasy były ciężkie.

Słowo dzielę wieki od słowa. Tak działa nasz czarodziejski środek, Madame. Ucho drętwieje, oczy wychodzą z orbit, ręce zaczynają drżeć. Osoby stojące obok nas oddalają się, widzimy za to kolor ich myśli, a nawet wyrazy wychodzące z ich ust.
Nadzwyczajnie!
Mesmer przyjechał w lutym 1778 roku – akurat wówczas, gdy umierał Wolter.
Wszystko, co żyje, zbiegło się do cudotwórcy: margrabiny i gryzetki, generałowie i książęta, libertyńscy poeci i salonowe panny na wydaniu, bankierzy i przekupki.
Theosopohus zaproponował ucieczkę. Był zdania, że to tylko ocknął się zgalwanizowany trup. Prawdziwy duch żyje w Germanii, w oparach metafizyki, wyłania się z kotłów, których używał ten chudy staruszek Emanuel. Guzik, artyleria, kwartet smyczkowy, stare historie, dzięki którym filozof pozostał w pamięci ludzkości. I jeszcze niebo, na którym pozbawiony okularów emeryt coś dojrzał.
- To mógł być satelita – sztychł doktor.
- Zaśmiecili niebo rozmaitymi dziwologami i moralność wreszcie upadła – dodała Madame.
- Jednak, jednak... – zaczął Theosopohus – przed Kantem był Jan Wilkołaz. Tak będę tłumaczył to imię, bo związek poety z wilkami dawno już został udowodniony. Wykarmiła go zresztą wilczyca własnym mlekiem. Niejeden werseł zawdzięczał tym poetyckim zwierzacom. Metafizyka przeżyła ostatecznie dzięki poezji, że przypomnę sławne zdanie.
Tu zacytował, a właściwie nie zacytował.
Chciał przytoczyć zdanie z Fausta, lecz ja Fausta znałem prawie na pa-

mięć i pewny jestem, że takiego zdania Goethe nigdy nie napisał!
Madame nie zgłosiła sprzeciwu.
A więc oboje byli współnikami – dopisali zdanie Goethemu! Kto wie, czy tylko jedno zdanie? Kto wie, ile dopisali Dantemu albo Szekspirowi? Fałszowali najświętsze księgi ludzkości i ręka im nie zadrżała, język nie odpadł ani nie stanął w ogniu, krew nie buchnęła z gardła, jak przewidywał uczony rabin. Musiałem o tym komuś powiedzieć – lecz kto zechciałby mnie wysłuchać? Kto potraktowałby poważnie? Kogo jeszcze obchodziła filologia w stanie czystym?

Czas zaczął mi się plątać. Nie liczyłem już miesięcy, ledwie dostrzegałem dni tygodnia. Od pełni do pełni. Pod znakiem Junony i Wodnika, w niewoli myśli i tajemnic nierozstrzygalnych, wpływ Księżycy nie wróżył nic dobrego. Tak przynajmniej uważał Henryk, który nie był miłośnikiem literatury.

- Wiesz – mówił któregoś wieczoru – pisarze to istoty bardzo powierzchowne. Wychwytyją jedynie zewnętrzne symbole, nie przenikając do istoty. To trochę tak jak gdybyś rezygnując z patrzenia na obrazy, zadowolili się studiami nad gatunkiem farby, sposobem jej nakładania i trwałością. Oczywiście, istnieją wyjątki. Hermetyczny traktat okazuje się czasem poematem, a proroctwo – powieścią. Nie mam pod tym względem żadnych uprzedzeń.

Zapytałem o dopiski i przeinaczenia. Gotów byłem przysiąc, że niektóre książki kończyły się inaczej. Dokonywano bezprawnych zmian, a pierwotne wersje skwapliwie niszczone. Cervantes przyciśnięty do muru zdecydował się uśmiercić Don Kichota, choć początkowo jego bohater miał cieszyć się życiem do późnej starości. Wielkie dzieło Hegla było nieskrywaną pochwałą solipsyzmu, lecz pruscy agenci zamienili niemal wszystkie kartki rękopisu w drodze do drukarni. Lew Tołstoj nie korzystał nigdy z lokomotywy, bo sam odbywał piesze wycieczki polegając na wygodzie własnoręcznie wykonanych łapci. Potrafił przejść na własnych nogach nawet sto kilometrów i nigdy nie pozwoliłby swojej bohaterce umrzeć na stacji kolejowej.

Zmieniano tytuły, imiona i zajęcia postaci, opuszczano całe fragmenty uznane za zbyt nużące dla czytelnika, wprowadzano inne – rzekomo budujące, które miały otworzyć każdemu śmiertelnikowi drogę do zbawienia. Czasem nawet przeinaczano nazwi-

ska autora, które docierało do potomnych w tylu wersjach, że cenny rękopis uznawano dla świętego spokoju za dzieło anonimowe, choć tak naprawdę utwory anonimowe nie istnieją. Każdy z nich ma swojego twórcę i dobroczyncę.

Henryk był zdania, że kto poprawia myśl mędrca i poety, staje się sprawcą zbrodni. Nie wyobrażał sobie nawet, by tego rodzaju czyn mógł pozostać bezkarny.

Przypomniawszy sobie kilka faktów – niestety, wszystkie okazały się tak oddalone w czasie, że ich wiarygodność trudno mi było ocenić. W jakimś muzeum widział uschnięte ręce kopisty, który odważył się umieścić w tekście świętej księgi parę własnych myśli. Choć ciało zuchwałego pisarza dawno rozpadło się w proch, dłonie twarde jak kamień opierały się przez stulecia rozkładowi.

Pewien eremita, znużony ascezą, dopuścił się paru niedokładności i boskie dzieło, które przepisywał, stało się dla czytelnika trucizną. Kto je otworzył, umierał nie doczekawszy nocy. Mnich z rozpaczyny powiesił się na drzewie, które natychmiast straciło liście. Powiadano (ale w tej materii brak dowodów), że ściął je tajemniczy nieznamy, by na kawałkach kory albo cienkich deszczułkach wypisać werseły Biblii Diabelskiej.

Fragmenty owego mrocznego elaborku Henryk obiecał wyszukać w swej bogatej bibliotece pełnej osobliwych rękopisów i starych książek, od dawna niedostępnych nawet w dużych czytelniach. Miał również znaleźć magiczną formułę zabezpieczającą przed fałszerzami książek – sugerował, że coś takiego rzeczywiście istnieje.

Niestety, nie zdążył.

Pewnego dnia Henryk po prostu znikł. Mówiono, że może wyjechał, choć nigdy nie dał znaku życia. Nigdy nie odnaleziono ciała ani żadnych śladów w mieszkaniu. Książki spoczywały na półkach, ubrania na wieszakach, buty w szafce pod drzwiami. Podobno nie brakowało niczego – żadnego drobniaczka. Na biurku leżał dowód osobisty, portfel z pieniędzmi, klucze i wieczne pióro. Wyglądało na to, że Henryk w swą ostatnią podróż nie zabrał nawet skarpetek, nawet chusteczki do nosa.

Śledztwo utknęło w martwym punkcie, bowiem prowadzący nie dopuszczali możliwości dematerializacji. Pytano natomiast o wrogów, których zaginiony oczywiście nie posiadał. Wkrótce okazało się zresztą, że obecność Henryka

w rzeczywistości, którą zawsze pogardzał, nie była w gruncie rzeczy nieodczuwalna. Świat pogodził się szybko z jego zniknięciem, a nie mogąc wytłumaczyć zjawiska w żaden racjonalny sposób, wybrał szybkie zapomnienie. Tylko ja od czasu do czasu oglądałem kilka kartek, które pożyczył mi podczas ostatniego spotkania. Dowiedziałem się, że Henryk pracował nad technikami przemieszczania się w czasie i przestrzeni. Słyszałem już wcześniej, że istnieje – co prawda bardzo ryzykowna i niesprawdzona – możliwość poddania się demonicznej władzy liczb. Pewne układy powstające w wyniku redukcji teozoficznej są być może powtarzalne, a zatem dla kogoś żyjącego w 1954 roku otwiera się szansa powrotu do roku 1945, a nawet 1549, oczywiście w określonych konstelacjach astrologicznych. Uważałem to za pseudonaukę i nie przywiązywałem do podobnej wiary żadnego znaczenia.

Człowiek, którego wieczorem spotkałem przed punktem skupu butelek, wyglądał jakoś dziwnie. Może był przebrany, ale miał w rękach książkę, a nie – jak wszyscy przechodnie – południową gazetę.

Czy jest pan wierzący? – zapytałem. Wierzący? – zastanowił się – wierzący, ale w co?

Wierzący w Boga, oczywiście.

Ach, tak – odparł – jestem muzułmaninem.

Salem alejkum – powiedziałem grzecznie.

Niech Mahomet pana prowadzi.

Potem wręczył mi plan Paryża. Metafizyczny – jak sam zaznaczył. Bo wbrew opinii profesora z Krakowa, to Arabowie dali Europie rozkosze metafizyki. Nigdy wcześniej nie spotkałem Araba w czerwonym fezie.

Mówiłem sam do siebie. Mówiłem w ciemności, bo tak było bezpieczniej. A poza tym i tak nikt nie chciał mnie słuchać. Powiedziałem chyba wszystko i zdradziłem wszystkie sekrety. Omówiłem skład i działanie sądów doraźnych, charakter pracy kata i budowę gilotyny, a także przeznaczenie wiklinowego kosza uwzględniającego wielkość głowy skazańców.

Przekonywali mnie – z pewnym zażenowaniem i niezbyt szczerze – że rewolucja to przecież „nic takiego”.

Nie wiedzieli jeszcze, że ich czas dobiegał końca. Następowaly zmiany, o których nie mieli nawet pojęcia. W ukryciu dojrzewał już plan, który miał

ich sprowadzić na boczny tor. Nie odegrają już żadnej roli w wypadkach, które nadejdą. Historia nie skorzysta z ich usług. Pozostaną tym, kim byli w istocie zawsze – parą niepozornych, śmiesznych ludzików marnujących swoje życie pośród starych książek.

Nie domyślali się niczego, znów zabawiali się tą swoją dziwną grą, bezmyślnie tasując karty. Nie znałem jej reguł ani symboli, więc trudno było powiedzieć, kto wygrywa.

- Pańska karta to Świat – emocjonowała się Madame. – A może jednak się mylę?

- Ależ nie, Madame. Będę skromniejszy i poproszę o kartę dziewiątą.



- Czy chce pan zostać mnichem i do końca życia chodzić w habicie?

- Madame, do pani pasuje tylko ta jedna karta: ogień i woda!

- A co z chłopcem? Należy mu się prezencik, a wyboru już nie mamy. Le Fois – Le Garçon. Będzie mu do twarzy w czapce z dzwoneczkami!

Przeczuwałem, że na podstawie układu kart Theosophus nada jutro rano zaszyfowaną depezę, marząc o spowodowaniu międzynarodowych komplikacji. Musiał przecież znać dokładnie kulisy telegramu Zimmermanna i wierzyć, że historia lubi się powtarzać. W rzeczywistości jednak powtórki są dziełem naszej imaginacji, bo nie lubimy być zaskakiwani przez wydarzenia bez precedensu. Ze zrozumieniem przyjmujemy natomiast repetycję, choćby dotyczyła nas największe przykrości.

Kiedy sprzątnęły karty ze stołu, Theosophus wziął mnie na stronę i powiedział, że urodziny Madame zostały odwołane. Ubranie miał w nieładzie, na koszuli zauważyłem rdzawe plamy. - Przypadek dekapitacji – szepnął porozumiewawczo. – To się zdarza, chociaż... nie powinno.

W istnienie tajnej gilotyny nie wierzy-

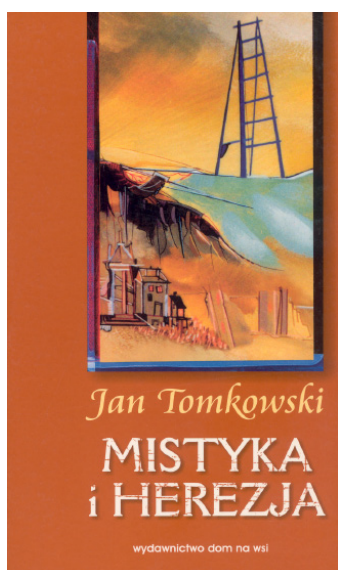
łem, choć słyszałem, że podczas egzekucji na szubienicy sznur odrywa nie raz głowę skazańcom. Właściwie nie ma to wielkiego znaczenia dla ofiary i nie wpływa na długość ani charakter agonii. Jednak na obserwatorach wywiera wrażenie wprost niezapomniane. Nawet jeśli uwzględnimy fakt, że ksiądz, prokurator i strażnicy więzienni (nie mówiąc już o samym kacie) wcześniej widzieli przecież niejedno. Były to zresztą tylko domysły, bo świat szedł w zupełnie innym kierunku: przez parę wieków delektowano się zbrodnią w imieniu prawa. Najbardziej eteryczne damy, nie mówiąc już o dobrze urodzonych panach i ciekawych krwawego widowiska dzieciach, walczyły o bilety tuż pod szafotem. Nikt nie przejmował się, że zostanie przypadkowo obryzany krwią. Sznur, na którym skończył się, stał się bezcenną zdobyczą. Jeden z rewolucyjnych kronikarzy napisał, że w Paryżu śmierć przyćmiła teatr. Któż emocjonowałby się aktorami umierającymi co wieczór od ciosów zadanych papierowym mieczem, gdy każdego poranka ginęły pod nożem gilotyny publiczne osobistości?

Jednak potem nastąpiła epoka skrytości. Deski szubienic zbijano byle jak, coraz rzadziej ścinano głowy, coraz mniej troszcząc się o jakość narzędzia. Po cóż zresztą wznosić skomplikowane mechanizmy, skoro do zgładzenia kłopotliwego przeciwnika wystarczył parasol z ostrą końcówką nasyoną trucizną?

Prawo, rozwijając swe długie procedury, stało się kłopotliwe. Przewlekając proces, można było uzyskać jeśli nie uniewinnienie, to przynajmniej odroczenie wyroku. Tu i ówdzie rozczarowani stróże porządku tworzyli organizacje zwane szwadronami śmierci, przeprowadzające egzekucje, których oficjalna sprawiedliwość zabraniała. Byłem przekonany, że Theosophus ma coś wspólnego z jedną z tych organizacji. Podejrzewałem nawet, że w jego zniszczonej teczce znalazłbym sztylet i truciznę, lecz pewności ciągle mi brakowało.

Wróciłem do domu. Starsza pani z sąsiedztwa rozejrzała się, czy ktoś nas nie obserwuje, a potem zaszepotała, że znów przychodził dzielnicy i pytał, czy wierze w przeznaczenie.

Z publikacji prof. Jana Tomkowskiego



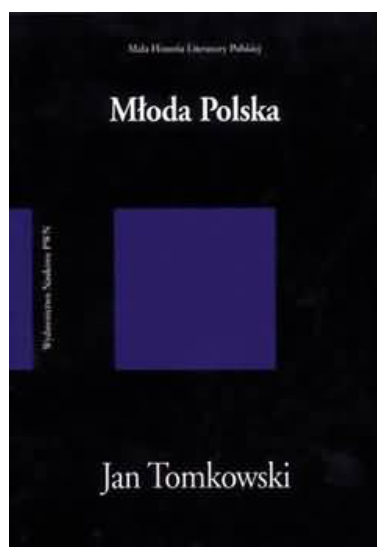
Moja książka [*Mistyka i herezja*] nie pragnie być niczym więcej jak tylko zbiorem esejów poświęconych dziesięciu wielkim postaciom i kilku fundamentalnym problemom. Głównym obiektem zainteresowania stają się tu teksty mistyczne, a nie ludzkie przeżycia. Mój wybór jest najzupełniej subiektywny, chociaż mam wrażenie, że wszyscy omawiani autorzy poszerzają, a często wręcz przekraczają granice chrześcijańskiej wyobraźni religijnej. Poszukiwania idą w różnych kierunkach: Weigel korzysta z dorobku alchemii i astrologii, Böhme - z ustaleń kabalistów, wraz z Novalisem wkraczamy w intrygujące obszary religijności romantycznej, Meyrink reprezentuje synkretyzm typowy dla swoich czasów. Drugie słowo występujące w tytule zbioru wyjaśnia, dlaczego tak niewielką rolę odgrywają w naszej kolekcji pisma mistyków ortodoksyjnych: św. Bonawentury, św. Jana od Krzyża, św. Teresy. Określam w ten sposób ogólny kierunek penetracji, nie mam natomiast żadnych ambicji tropienia przejawów herezji czy oceny zgodności tekstów mistycznych z doktryną jakiegokolwiek wyznania.

Jan Tomkowski



Dzieje myśli (wyd. kolejne w 2002 pod tytułem *Historia myśli*) to synteza światowej myśli od Biblii do New Age, od starożytności do postmodernizmu. Prezentuje szkoły filozoficzne, kierunki myślenia humanistycznego, najwybitniejsze dzieła i sylwetki ich autorów. Całość jest bogato ilustrowana, materiał opisowy jest zaprezentowany w sposób bardzo przejrzysty, zostawiający czytelnikowi możliwość własnej oceny i refleksji, inspirujący go do dalszych lektur i poszukiwań intelektualnych. Nie jest ona podręcznikiem filozofii, lecz raczej przewodnikiem po bogatym świecie historii, kultury i cywilizacji. Książka jest wyrazem nadziei, że w epoce komputerów znajdzie się czas na zgłębianie dziejów myśli i na swobodne myślenie.

<http://ksiazki.wp.pl>



Kolejny tom z serii *Mała Historia Literatury Polskiej* ukazuje w sposób syntetyczny zjawiska literackie Młodej Polski na tle prądów filozoficznych i kulturowych oraz przemian obyczajowych przedstawianego okresu, omawia twórczość pisarzy i ich podstawowe utwory, wiąże historię literatury i modernistyczne programy artystyczne z przemianami w międzywojennej Polsce. Książka w ujęciu popularnym, napisana żywo i przystępnie. Prezentuje doskonale porządkujące wiedzę kalendarium.

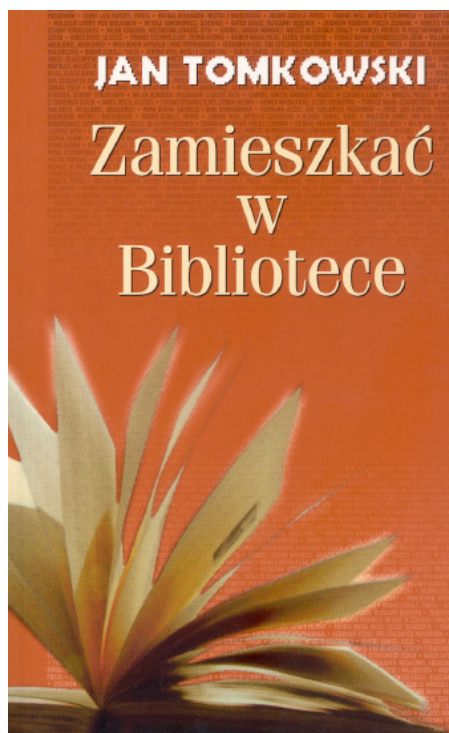
<http://ksiegarnia.pwn.pl>



Na *Kuchni literackiej* poezja i proza z różnych epok przeplata się z przepisami. Wykład Wokulskiego o jedzeniu ryb nożem i widelcem ilustruje przepis na pieczonego sandacza, a wizytę u bohaterów „*Nad Niemnem*” wieńczy receptura na nalewkę różaną, którą częstowano w saloniku Korczyńskich. W opowieści o literackich dziejach polskiej kuchni nie zabrakło też potraw z wigilijnego stołu opisanego w „*Chłopach*”, ani słynnego bigosu z „*Pana Tadeusza*”.

Pod piórem wielu pisarzy nawet zwyczajne dania stawały się poezją. Zapraszamy do degustacji! „*W malinowym chruśniaku*” z pucharkiem mrożonego deseru malinowego – uczta dla zmysłów!

<http://www.swiatksiazki.pl/>



Jan Tomkowski szczerze opowiada o swojej miłości do literatury i o tym, jak czytanie powinno wyglądać. Tytuł zbioru esejów jest znaczący. W Bibliotece Tomkowskiego znajdują się nie tylko książki już poznane i pokochane, ale również nasze marzenia o książkach, które dopiero przeczytamy (...), dzieła zaginione i zachowane w postaci fragmentarycznej. Biblioteka to nie konkretne miejsce. To wytwór naszej wyobraźni. W swoich esejach autor zastanawia się nad tym, czy możliwy jest świat bez książek. Oddalamy się przecież coraz bardziej od literatury. Autor przywołuje własne doświadczenia z pracy ze studentami. Zwraca uwagę na to, że zamiast wnikliwie czytać, uczniowie składają literki, a po zamknięciu książki mają czyste sumienie, bo „zaliczyli” kolejną nudną lekturę. Efektem tego są absur-

dalne sytuacje, w których student na pytanie o to, gdzie rozgrywa się akcja „Lalki” Prusa, odpowiada, że w Związku Radzieckim. Tomkowski „prosi” o delectationem się literaturą. Nie narzuca, nie podaje listy książek obowiązkowych. Boleje tylko nad tym, że w dzisiejszym świecie za dziwaka uznaje się miłośnika dawnej literatury angielskiej, a za człowieka czytającego - amatora książek Whartona. W siedemnastu esejach pisze m. in. o tym, że literatura XIX w. kształtowała gusta (na dowód przywołuje zjawiska werteromanii czy bajronizmu), wspomina o magicznych miastach pisarzy. Zastanawia się nad tym, czy jakiegokolwiek miasto europejskie może stanowić konkurencję dla Paryża. „Zamieszkać w Bibliotece” to wielka pochwała literatury. To hołd jej złożony. Sto dziewięćdziesiąt stron to zdecydowanie za mało.

Tym bardziej, że rzadko na rynku wydawniczym pojawiają się tego typu pozycje. Mądre, pełne pytań, zmuszające do myślenia, pozbawione wartości akcji, ale wciągające jak powieść.

<http://kultur-alnie.blogspot.com/2009/05/jan-tomkowski-zamieszka-w-bibliotece.html>



Konrad Tatarowski

ur. w 1948 r. w Łodzi

Absolwent filologii polskiej na Wydziale Filologicznym UŁ (1972) a następnie asystent w Instytucie Teorii Literatury, Teatru i Filmu UŁ. Zajmował się literaturą współczesną, publikując artykuły w czasopismach naukowych i prasie literackiej. Internowany w okresie od 13 XII 1981 do 16 X 1982, w kwietniu 1983 wyemigrował do USA, skąd po roku przeniósł się do Niemiec, gdzie podjął pracę redaktora w Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa w Monachium, a jednocześnie publikował w „Nowym Dzienniku” (Nowy Jork), „Kulturze”, „Zeszytach Literackich”, „Kontakcie”, (Paryż), „Poglądzie” (Berlin), „Widnokręgu” (Fryburg), „Exodusie” (Monachium). Jego teksty ukazywały się też w czasopismach II obiegu w kraju (m.in. w „Wezwaniu”, „Kursie”, „Obecności”, „Kulturze Niezależnej”). W 1995 ponownie zamieszkał w Polsce. Pracował m.in. jako publicysta „Dziennika Łódzkiego” i dziennikarz w Radio Łódź. Od 2004 jest adiunktem w Katedrze Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej UŁ. Od 1996 jest członkiem zespołu redakcyjnego „Tygla Kultury”, uczestniczy w licznych audycjach telewizyjnych i radiowych.

Jest autorem zbioru wierszy „Światło w ciemności” (1992) oraz książki „Literatura i pisarze w programie rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa” (2005). Wkrótce ukaze się jego kolejna książka „Aksjologia i polityka w pisarstwie i działalności Jana Nowaka-Jeziorańskiego”.

Odnznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski (2008) oraz Złotym Krzyżem Zasługi i odznaką „Zasłużony dla kultury polskiej”.

Fot. <http://www.audiovis.nac.gov.pl/obraz/6742>



WiMBP zaprasza



3 lutego (środa)

- godz. **10.45** - na spotkanie z Tomaszem Cieślikiem i Sylwią Czub (Instytut Książki), którzy zaprezentują program biblioteczny MAK+

- godz. **14.00** - na wykład profesora Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie dr. hab. Andrzeja Drózdza pt.

„Książki i biblioteki w kręgu antropologii”



Andrzej Drózd



18 lutego (czwartek) o godz. 17⁰⁰

na spotkanie

z Ernestem Bryllem,

poetą, pisarzem, autorem tekstów piosenek,

dziennikarzem, tłumaczem, krytykiem filmowym, dyplomatą.

23 lutego (wtorek) o godz. 17⁰⁰

na spotkanie

Dyskusyjnego Klubu Książki

przy WiMBP im. Marszałka J. Piłsudskiego

Cafe „Fraszka” (II piętro), ul. Gdańska 100/102

Zapraszamy do dyskusji o książce pt. „Ptakon” Witolda Horwatha.



Z publikacji WiMBP

Człowiek człowiekowi powinien być człowiekiem / historia opowiedziana przez Mariana Piwowarskiego „Sprawiedliwego wśród Narodów Świata” (2009)

Wspomnienia o ratowaniu Żydów podczas okupacji hitlerowskiej przez rodzinę państwa Piwowarskich. Marian Piwowarski (ur. 1928), od 1949 r. jest mieszkańcem Łodzi.

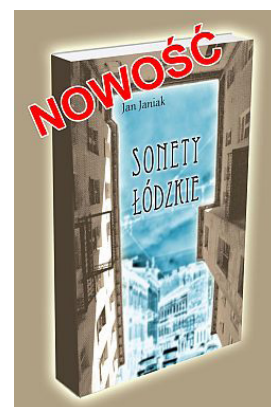
O kulawym Misiu, Brennanie i czkawce / Henryk Skwarczyński (2009)

Poemat wydany jako druk bibliofilski z okazji spotkania z autorem w WiMBP w dniu 23 października 2009 r. Brennan's to irlandzka pijalnia kawy w Berkeley w Kalifornii.

Henryk Skwarczyński (ur. 1952), pisarz, podróżnik, absolwent XXI LO im. B. Prusa w Łodzi, absolwent polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego, doktorant w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. Od lutego 1980 r. uchodźca polityczny we Francji. W 1986 r. przyjął obywatelstwo USA.

Sonet y łódzkie / Jan Janiak (2009)

Jan Janiak (ur. 1941), dr nauk historycznych, starszy kustosz dyplomowany. W latach 1987 – 2005 dyrektor Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego. Poeta.



Wybór, opracowanie materiałów i skład: Julita Lenzian-Twardowska

Nakład egz. 100

Numery BiBiKa dostępne są na stronie www.wimbp.lodz.pl w dziale **Wydawnictwa własne**

prof. dr hab. Jan Tomkowski

„Sucharek”

Esej napisany na spotkanie w Bibliotece 26 stycznia 2010 r. i odczytany podczas spotkania.

Tak, to prawda, że okropni są ci historycy literatury albo historycy obyczaju, albo nawet eseści wciskający nos w prywatne, nawet najbardziej intymne sprawy pisarzy. Pod pozorem „wzbogacenia” sylwetki artysty albo pokazania kolorytu epoki wydobywają na światło dzienne wstydliwe szczegóły: zaniedbaną garderobę Mickiewicza, apetyt Słowackiego, lęki Prusa.

Wstrętne przyczynkarze, ale...

Z drugiej strony – jakie to ciekawe!

Czy przeszlibyśmy do porządku dziennego nad listem, w którym Słowacki prosi mamę o przepis na baby wielkanocne? Prosi o przepis, a potem może nawet uciera jaja z cukrem, dogląda temperatury w piecu, osobiście zeskrobuje spaleniznę, bo jednak przegapił ten moment, gdy skórka była już złociста i ciasto trzeba było wyjąć. A może lubił przypalone łakocie?

Pisarze dzielą się – z grubsza rzecz biorąc – na dwie grupy. Pierwsza to entuzjaści kuchni, czynni albo bierni. Czynni uwijają się z chochłą pomiędzy garnkami, przyprawiając o palpitacje serca kucharki (jeśli oczywiście są zamożni). Bierni pałaszują przy stole, do kuchni nawet nie wchodząc – rozsądna decyzja, bo gdyby się tam zaplątali, to jeszcze kazali by im pozmywać (zmywający literat to wielka rzadkość).

Druga grupa to tak zwana niejadki, obiekt miłości historyków literatury starszego pokolenia, przekonanych że autorzy wielkich dzieł piją wyłącznie atrament i żują własne rękopisy, za wyjątkiem poetek, które odżywiają się wączając płatki róży. Nikt nie widział ich przy jedzeniu, a opisywane przez nich postacie to też niejadki: kochają się, spiskują, giną na polu walki nie spożywszy nawet najskromniejszego rogalika. Taki niejadek potrafi stać całą noc przy drzwiach, gardząc weselną kielbasą, a po powrocie do domu pisze zaraz, od ręki dramat narodowy...

Zawsze marzyłem, by wydać książkę kucharską, w której gotują bohaterowie powieści i poematów. Marzenia czasem się spełniają.

Na razie rzecz ma dotyczyć literatury polskiej, będą komentarze, opisy i przepisy. A ja jeszcze nie wiem, że zanim książka się ukáže, wskaźniki czytelnictwa znów spadną i wydawca zdecyduje się skrócić książkę o połowę, wykreślając przygotowane już fragmenty. Ukończona książka leży i leży, a ja żartuję sobie, że promocyjny bażant przez trzy lata to może i skruszeje, ale co stanie się z promocyjnym homarem?

Pisanie było jednak bardzo przyjemne.

Nie miałem problemu z Kochanowskim, Słowackim, Mickiewiczem, Prusem, Sienkiewiczem, Orzeszkową. Ale Norwid?

Czy Norwid pisał kiedykolwiek o jedzeniu?

No owszem, pisał.

Czytam ten list o szczotkach i o jedzeniu. Strasznie smutny, pisany w Domu św. Kazimierza.

Ja jem prędko, pisze Norwid.

Co za przyjemność – jeść prędko? We Francji słynącej z wyrafinowanej kuchni i biegłych w sztuce kulinarnej smakoszy jada się bardzo wolno.

Jadł prędko, bo nie chciał mieć do czynienia z resztą stołowników. Jadł prędko, więc nie czuł smaku? A może jedzenie było tak złe, że jadł prędko, żeby nie czuć smaku właśnie? Cóż w końcu te zakonnice mogły ugotować? Zresztą najpierw trzeba by wiedzieć, co lubił Norwid.

Przerzucam wiersze i dramaty. Zatrzymuję się na dłużej przy Assuncie, poczytuję sobie Pierścień wielkiej damy, Czarne kwiaty czytam po raz setny chyba. Czas mija, ale o jedzeniu znajduję bardzo niewiele informacji!

No tak, jest ten fragment z Czarnych kwiatów – wszystkie podręczniki informują nas, że to nekrolog kolegi po piórze. Lecz ja dostrzegam w tej chwili tylko kurę, którą pałaszuje z apetytem umierający Słowacki. Autor Balladyny siedzi i je, autor Promethidiona siedzi i patrzy. Może porcja jest mała, akurat na jedną osobę, ale jednak Słowacki mógłby się z gościem podzielić?

Może by się i podzielił, lecz Norwid pewno rzekł dumnie, że jest że po obiedzie.

Może Norwid nie lubił mięsa? A może nie lubił kury, która – zwłaszcza źle przyrządzona albo stara – bywa bardzo twarda. Choć Norwid nie miał wtedy jeszcze trzydziestki. Ale może lubił co innego? Zawsze strasznie żałowałem, że Norwid nie pojechał do Chin. Mógł w pewnym momencie swego życia wrócić do kraju, wyemigrować do Ameryki albo wybrać się do Chin. Profesor Mazan wyprawił Wołuskiego właśnie do Chin (choć podobno któryś z czytelników Lalki widział Wołuskiego pod Wołominem). A Norwid w Chinach jadałby na pewno ryż. Elegancko – pałeczkami, oczywiście. Ale czy lubił ryż i jaki ryż? A sosy? A warzywa? Raczej ryby czy drób?

Wreszcie znalazłem coś godnego uwagi. Mało znany poemat Ziemia, porównywany przez niektórych do Pieśni miłosnej J.Alfreda Prufrocka Thomasa Eliota.

Ogromnie lubię te wynurzenia starzejącego się pana z refrenem, który w przekładzie Władysława Dulęby brzmi bardzo melodyjnie:

„W salonie, gdzie kobiet przechadza się wiele,
Rozmowa o Michale Aniele.”

Ten salon Norwidowy jest jednak zupełnie inny, choć w nim także można porozmawiać o rzeźbie. Ale mnie rzeźba w tej chwili nie obchodzi. Czytam z zapalem o herbacie w cieniutkiej porcelanie (Norwid ma rację, że taka herbata smakuje inaczej niż ciecz z torebki parzona w fajansowym kubku). I są słodczyce. Ciastka do herbaty. Trochę nietypowo, bo do ciasta (o ile nie chodzi o szarlotkę) pasowałaby lepiej kawa. Ale Norwid mówi o konkretnym cieście, które nazywa sucharkiem – nie jest to chyba sucharek, po jaki sięgamy dziś w przypadku niestrawności, gdy lekarz zaleca dietę?

Rzućmy jeszcze okiem na stół:

„ (...) ciasto, które zwie się
Sucharkiem, i rum, białej przeciwny śmietanie,
I owoc różny, który z drzew ogrodu rwie się.”

Podejrzewam, że to coś w rodzaju angielskiego keksu, cwibaka, ciasta troszkę przesuszonego, ale jednak delikatnego, rozpluwającego się w ustach, może z bakaliami nawet – owoce kandyzowane, skórka pomarańczowa, rodzyнки. Rum przeciwko śmietanie. Ja też wolę rum. Rum do herbaty? Chyba tak, bo przecież w salonie nie będzie marynarzy. Owoc prosto z drzewa – nie wiadomo, jaki. Śliwki, jabłko, gruszki, a może brzoskwinie albo morele?

Tyle tu niedopowiedzeń, choć przecież mamy do czynienia z ulotnymi drobiazgami. Tyle tu piękna, choć przecież wszystko jest takie prozaiczne.

Popołudniowa godzina, zatrzymana na zawsze dzięki spojrzeniu poety. Podwieczorek, który trwa w naszej wyobraźni zawieszony pomiędzy czasem a wiecznością.

W dodatku opatrzony pointą, której nie powstydziliby się Marcel Proust – pytaniem, jakie zadawać musi sobie (w tonacji sentymentalnej albo ironicznej) każdy artysta:

„ (...) jak wrócić wspomnieniem
Do pewnych herbat, tudzież ciast i konwersacji,
Prawdziwie wielkim dobrze zaprawnych natchnieniem,
Do szkolnych dni – bukietów: róż – i do wakacji.”

No właśnie – jak?